Cena 10 zł

ŚWIETLICA KRAKOWSKA

dwutygodnik

Nr 2 | Kraków, 15 stycznia 1947 r. | Rok III



JULIUSZ SŁOWACKI

O POEZJI

Chodził mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa...
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem,
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć zamglić ją tęsknotą;
Potem z niej łyskać błyskowicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą;
Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa...

Demokracia Ludowa — postępową formą ustrojową w Polsce

Wśród licznych plotek, mających służyć za argumenty propagandzie reakcyjnego podziemia przeciwko Rządowi Jedności Narodowej, pierwsze miejsce zajmuje plotka o obecnym ustroju społecznym w Polsce, jakim jest demokracja ludowa. Plotka twierdzi, jakoby Polska była XVII republiką radziecką. W wyniku drugiej wojny światowej zwyciężyła idea demokracji nad faszyzmem. Druga wojna światowa zatraciła w swym końcowym etapie, nadany jej w początkach przez Hitlera, charakter wojny imperialistycznej, a przerodziła się w ogólnoświatowe zmaganie między siłami demokracji i faszyzmu. O ile jednak faszyzm miał jednolite oblicze ideowe, reprezentowane przez państwa osi, w których bezsporny prym wiódł hitleryzm, o tyle zjednoczony obóz demokracji w zasadniczych cechach ustrojowych, wykazywał duże różnice. Bliższe były jednak państwom, wchodzącym w skład sojuszu demokratycznego, cechy ich w walce z faszyzmem łączące, niż te któreby je w czasie pokoju mogły dzielić.

Dwie potęgi światowe: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej oraz Wielka Brytania, reprezentują demokrację liberalną, pod której formą kryje się ustrój kapitalistyczny. Wielekroć nadużywane przez te demokracje słowo „wolność" w konfrontacji z życiem traci swój istotny sens. Nasuwa się często wniosek, że ten typ demokracji, to raczej zamaskowana forma imperializmu, który przecież żeruje na pozbawionych wolności, ludach kolonialnych. Obserwujemy działania wojsk angielskich w Grecji, na wyspie Cypr, w Palestynie, Transjordanii, w Iraku, Indiach, Burmie, Malajach i Indonezji, jesteśmy świadkami wsprowadzania przez gen. Smutsa w Afryce Południowej haniebnych praw rasowych. A w Chinach oddziały wojsk centralnych Czang-Kai-Szeka w walce z komunistycznymi chińskimi wojskami ruszają pod dowództwem amerykańskich oficerów i amerykańskie bomby padają na miasta, walczącego o swą wolność ludu chińskiego. Słowo wolność w kapitalistycznych demokracjach zachodu oznacza zbyt często dowolność w doborze sposobu wyzysku klasy robotniczej i narodów kolonialnych przez kapitalizm.

Trzecim wielkim partnerem w Wielkiej Trójce, która w czasie wojny i obecnie decyduje o losach świata, jest Związek Radziecki. Ten reprezentuje demokrację socjalistyczno-proletariacką. Ruch rewolucyjny, doszedłszy w roku 1917 w Rosji do władzy, przekształcił się w dyktaturę proletariatu, jako pośrednią formę ustrojową na drodze do obecnej socjalistycznej. Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików) pod wodzą Lenina, jako jedyna partia podjęła pracę nad przeształceniem zacofanej Rosji i innych narodów Związku Radzieckiego z kraju o ustroju absolutystycznym w nowoczesne państwo socjalistyczne. Zasadniczą cechą demokracji proletariackiej w ZSRR jest całkowita nacjonalizacja przemysłu i handlu oraz przejęcie przez państwo kierownictwa gospodarką rolną w postaci sowchozów i kołchozów. W efekcie drugiej wojny światowej widzimy w całym świecie wzmożone tendencje do przeprowadzenia postępowych reform społecznych. Obserwujemy to także w Anglii, gdzie przeprowadzono upaństwowienie ciężkiego przemysłu i banków, widzimy, że i Ameryka częściowo przechodzi na gospodarkę planową.

O ile jednak w tych państwach w dalszym ciągu podstawą ustroju jest kapitalizm, demokracja ludowa, którą mamy w Polsce, bazując na postępowych reformach społecznych, jest ustrojem, który wyrugował z życia Polski decydujące o jej losach do r. 1939 dwie zasadnicze warstwy: Obszarnictwo i wielki kapitał, oddając władzę w ręce ludu. Obok najsilniejszych obecnie w Polsce dwu klas, trwających w sojuszu: robotniczej i chłopskiej, wielką rolę odgrywa u nas inteligencja pracująca, rzemiosło, kupiectwo i drobny przemysł. Wszystkie te odłamy społeczeństwa, grupując się wokół demokratycznych stronnictw politycznych, mają swą reprezentację w parlamencie, jakim jest KRN i w Rządzie Jedności Narodowej. Ideologiczną podstawą ustroju jest Manifest Lipcowy wydany przez pierwszy powojenny tymczasowy rząd Polski: Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Manifest gwarantuje wszystkim obywatelom wolność, równość i swobodę. Zasada bezpłatności nauczania jest gwarantem nie tylko upowszechnienia oświaty i kultury, lecz także równości startu życiowego. Cechą gospodarki narodowej jest planowość w oparciu o sektor państwowy, spółdzielczy i prywatny. Gospodarka rolna tak teraz, jak i w przyszłości, rozwijać się będzie na zasadzie dochodowych gospodarstw indywidualnych, produkujących odpowiednie nadwyżki produkcji rolnej. Dwuletnie sprawowanie rządu przez polską demokrację w oparciu o ustrój demokracji ludowej, wykazało wielką żywotność i postępowy charakter tego ustroju. Odbudowa kraju, która postępuje w szybkim tempie naprzód, rozwój przemysłu i rolnictwa, w oparciu o narodowy plan trzyletni, doprowadzą wkrótce do wydatnego podniesienia stopy życiowej w Polsce. Krzepnąc w swej sile wewnątrz kraju, staje się Polska na arenie międzynarodowej ważnym czynnikiem. Stanowiąc odmienny typ demokracji zarówno od demokracyj zachodu, jak i swego wielkiego wschodniego sąsiada, jest Polska na terenie międzynarodowym czynnikiem, starającym się wyrównać różnice i tarcia między wielkimi partnerami. Dowodem tego szereg kwestyj, dodatnio rozstrzygniętych przez ostatnią sesję Generalnego Zgromadzenia ONZ, gdzie wnioski Polski w sprawie gen. Franco, rozbrojenia i energii atomowej, przyczyniły się wybitnie do pozytywnych rezultatów obrad.

Jak widać, ustrój demokracji ludowej, będąc ustrojem postępowym reform społecznych, w którym lud jest włodarzem całej ziemi i decyduje o losach państwa, różni się nie tylko od kapitalistycznych demokracyj zachodu, lecz także w zasadniczych swych rysach jest odmienny od demokracji proletariackiej Związku Radzieckiego.

U nas ma wielkie szanse rozwojowe w przemyśle i handlu inicjatywa prywatna, w ZSRR w tych dziedzinach własność prywatna prawie nie istnieje. U nas gospodarka rolna opiera się o indywidualne gospodarstwa, tam o kołchozy i sowchozy. Dlaczego więc reakcja w Polsce rzuca plotkę, jakoby Polska miała zostać XVII republiką Związku Radzieckiego a wsie polskie zamienione na kołchozy?

Siła rządzącego obecnie obozu polskiej demokracji polega na tym, że o ile wszystkie zasady demokratyczne: wolność, swoboda i

równość startu życiowego stosują się do demokratów, o ile w stosunku do reakcjonistów i wrogów postępu społecznego w postaci band terrorystycznych, rzecz się ma zupełnie inaczej. Tym, dawszy niejednokrotnie możność zawrócenia z fałszywej drogi, po raz drugi w dziejach polskich zwycięski lud, który wyciągnął słuszną naukę z lat 1918—1923, z lat słabości i braku jedności w łonie obozu demokratycznego, pokaże w końcu mocno w kułak zaciśniętą dłoń, spadającą na głowy faszystowskich zbrodniarzy nieubłaganym wyrokiem całkowitej ich likwidacji.

Polska wolna od kapitalistów i obszarników — Polska Ludowa — może być domem ojczystym tylko dla demokratów.

Dlatego dowództwo faszystowskiego podziemia pragnie powrotu do stosunków z przed r. 1939 za wszelką cenę, choćby za cenę zdrady narodowej i kainowej walki skrytobójczej i usiłuje nasz ustrój w oczach ludu polskiego, dla którego najświętszym dobrem jest niepodległość i suwerenność Polski — zohydzić plotką o XVII republice i kołchozach. Lud polski jednak nie da się już nigdy wprzęgnąć w jarzmo kapitalizmu i rozumie, że w wielkim cyklu przemian społecznych, wśród jakich świat cały podąża na lewo, Polska obrała swą drogę w oparciu o charakter i istotne potrzeby narodu polskiego, znajdujące swój wyraz w ustroju demokracji ludowej.

I w tym właśnie tkwi siła i żywotność obozu demokracji w świecie, że dróg, które go wiodą do postępowej formy społecznego życia, nie wytyczył żadną skostniałą doktryną.

Andrzej Starek

IRENA PANCERZ-GRABOWSKA

Kłopoty pana Bevina

Kiedy w roku 1945 zwyciężyła w wyborach do parlamentu angielskiego socjalistyczna Partia Pracy, postępowe narody całego świata przyjęły ten fakt z ulgą, spodziewając się zerwania rządu z imperialistyczną polityką zagraniczną w stosunku do państw małych i narodów kolonialnych. Tymczasem z zapowiedzi premiera Attlee pozostały tylko słowa. O ile socjalistyczny rząd w Anglii wprowadził pewne reformy społeczne, zapoczątkowane upaństwowieniem ciężkiego przemysłu i banków w kraju, to polityka zagraniczna, reprezentowana przez Bevina niczym nie odbiega od wytyczonej jej przez konserwatystów linii imperialistycznej. W związku z tym p. Bevin ma wiele kłopotów.

W KRAJU...

Prezciwko polityce zagranicznej Bevina, popieranej przez konserwatystów będących w opozycji, występuje niemal trzecia część frakcji parlamentarnej lewicowych posłów Labour Party, którzy w czasie dyskusji nad mową tronową, poddali krytyce działalność jego. W głośnej tej „rewolcie" pod dowództwem Crossmana wysunęli posłowie przede wszystkim żądanie uniezależnienia polityki zagranicznej Anglii od wpływów imperializmu amerykańskiego. Pożyczka amerykańska, udzielona Anglii i toczone rokowania w sprawie uzgodnienia zbrojeń w obu państwach, są niezawodnie czynnikami, mogącymi przyczynić się do zbyt wielkiego uzależnienia Anglii od Stanów Zjednoczonych, w których po śmierci Roosevelta doszedł do głosu imperialistyczny, antydemokratyczny kierunek.

Widząc wzrost potęgi obozu demokratycznego ze Związkiem Radzieckim na czele, imperializm anglo-amerykański stara się jej dalszemu wzrostowi przeciwstawić. Idea stworzenia bloku zachodniego mająca służyć temu celowi, popierana przez politykę Bevina, spotkała się ze sprzeciwem „rebeliantów". Uważają oni, że socjalistyczny rząd nie może przedkładać walki przeciw siłom demokratycznym w Europie, nad żywotne interesy państwa i stawiać jej wyżej, niż niezależność polityczną Wielkiej Brytanii.

W GRECJI...

Faktyczna okupacja angielska w Grecji, gdzie pod protektoratem Anglii przeprowadzono wybory, a raczej ich fikcję, stwarza w tym kraju coraz groźniejszą sytuację. Prawicowy rząd Tsaldarisa, zbojkotowany całkowicie przez zjednoczoną organizację demokratyczną EAM, nie jest przez naród uznawany. W górach północnej Grecji działają partyzanckie oddziały demokratyczne, które zbrojnym oporem chcą doprowadzić do obalenia, stosującego niebywały terror, rządu. Sytuacja w Grecji zaniepokoił się nie tylko parlament angielski, lecz także ONZ. Komisja brytyjska zakończyła już swoje prace, składając przed parlamentem sprawozdanie. Komisja stwierdziła, że pobyt wojsk brytyjskich w Grecji nie przyczynia się do normalizacji stosunków; uważa za konieczne utworzenie nowego rządu koalicyjnego, w którym zasiadaliby przedstawiciele wszystkich ugrupowań; stwierdziła, że działalność partyzantów nie wynika z żadnej inspiracji pogranicznej, jak to Tsaldaris usiłował w ONZ przedstawić, lecz jest rezultatem sytuacji w kraju, wreszcie komisja stwierdziła, że rząd Tsaldarisa jest zupełnie zależny od Anglików. Tyle stwierdzili sami Anglicy.

Co zaś stwierdzi komisja ONZ?...

Sprawozdanie to, wygłoszone w parlamencie, przyczyniło się do dalszego pogłębienia niezadowolenia z polityki Bevina w Anglii.

W INDIACH...

Niemniej kłopotu przysparzają Bevinow. Indie. Ruch wolnościowy, który na długo przed wojną nurtował naród indyjski, przybrał teraz na sile, tak, że zmusił Anglię do ustępstw.

Aby osłabić siłę indyjskiego ruchu wolnościowego udało się Anglii doprowadzić naród do podziału na dwa zwalczające się wedle wyznania obozy, tj. na muzułmanów i na wyznawców Buddy i innych religij. Dwie te grupy, Liga Muzułmańska i Wszechindyjska Partia Kongresowa, mają przeciwstawne koncepcje państwowe.

Walka bratobójcza, jaka się wywiązała na tym tle osłabia postawę Indii, co zdaje się być Anglii bardzo na rękę. Wszechindyjska Partia Kongresowa utworzyła za zgodą Anglii tymczasowy rząd, który jednakże został przez Ligę Muzułmańską zbojkotowany. Ustanowione zgromadzenie konstytucyjne opracowało projekt konstytucji, wedle którego w skład republiki indyjskiej weszłyby oprócz państwa indyjskiego i inne części Indyj nie brytyjskich (odnosi się to do portugalskich i francuskich posiadłości w Indiach, gdyby wyraziły na to zgodę), przy czym zastrzeżona jest pełna autonomia dla poszczególnych terytoriów; władzę sprawować będzie lud przy zapewnieniu swobód obywatelskich i praw dla mniejszości narodowych. Czyli koncepcja hinduska zmierza do stworzenia wielkiego, niezależnego państwa indyjskiego w oparciu o jedność narodową. Liga muzułmańska, która zdaniem przywódcy hinduskich socjalistów, członka naczelnego komitetu partii kongresowej Nareina, jest narzędziem służącym Wielkiej Brytanii do prowadzenia starej swej zasady politycznej „divide et impera", domaga się utworzenia oddzielnego państwa Pakistanu o 100 milionach ludności.

Na tym tle wybuchły krwawe rozruchy między Hindusami a Muzułmanami w Biharze, Bengalu i Bombaju, które stały się w końcu poważną groźbą wojny domowej w Indiach. By temu zapobiec, Anglia przedstawiła obu partiom plan zgrupowania prowincyj w ramach niezależnych Indyj, który został przyjęty najpierw przez Ligę Muzułmańską, a niedawno po naradzie Ghandi'ego z Pandit Nehru, przywódcą partii kongresowej, także przez kongres hinduski.

Fakt ten może stworzyć podstawy do wejścia przedstawicieli muzułmanów do konstytuanty oraz do nawiązania jedności narodowej w Indiach. Antybrytyjskie jednak nastroje w Indiach, w związku z ociąganiem się Anglii z zatwierdzeniem projektu konstytucji indyjskiej, wzrastają na sile, mogąc się przerodzić w rewolucję, do której wspomniany socjalista Narein ustawicznie naród nawołuje. Słuszną wydaje się nieufność tego polityka do uznania przez Anglię niepodległości Indii, skoro, jak to podaje miesięcznik komunistyczny „Labour Monthly" nie tylko, że dotąd nie ustalono terminu wycofania wojsk angielskich z Indyj, lecz wedle instrukcji angielskiego Ministerstwa Lotnictwa, przygotowuje

się w Indiach warunki do rozlokowania t. zw. „rezerwy strategicznej", aż do roku 1950.

W PALESTYNIE...

Od jakiegoś czasu w odpowiedzi na zakaz imigracji Żydów do Palestyny działają tu terrorystyczne organizacje żydowskie. Najnowsza z nich — to Irgum Zwai Leumi mająca za sobą wiele aktów sabotażu, których celem jest usunięcie Anglików z Palestyny i utworzenie niezależnego państwa żydowskiego. Charakterystyczne jest, że organizacja ta nie odnosi się do narodu arabskiego wrogo, twierdząc, że poróżnienie Żydów z Arabami jest dziełem Anglii i w jej interesie. Obecnie sytuacja w Palestynie, gdzie Anglia nosi się z zamiarem zaprowadzenia stanu wojennego, dojrzała do tego stopnia do radykalnego rozstrzygnięcia, że zainteresowała się nią nie tylko Ameryka, lecz także ONZ. Prawdopodobnie zostanie przyjęty jeden z kilku planów podziału Palestyny na dwa niezależne państwa — arabskie i żydowskie.

W tych wszystkich kłopotach Anglii, wynikłych z imperialistycznej polityki Bevina w stosunku do narodów, które dojrzały do politycznej niezależności, dziwić może tylko jedno, że mianowicie kłopoty te nie spadają bynajmniej na głowę konserwatywnego rządu Churchilla, lecz socjalistycznego rządu Attlee.

Podczas swej bytności w Polsce poseł do parlamentu angielskiego członek Labour Party, wielki przyjaciel Polski, Zilliacus, starał się to zjawisko wytłumaczyć niemożnością szybkiego przebudowania olbrzymiego aparatu służby zagranicznej, przy pomocy ludzi o postępowych poglądach, co w stosunkach wewnętrznych w dużym stopniu przeprowadzono. Bardziej zrozumiałe jednak będzie to zjawisko wtedy, gdy jeszcze raz stwierdzimy, że minister spraw zagranicznych Anglii — Bevin, ulega wpływom imperialistycznych kół angielskich.

Stąd mamy paradoks w swoim rodzaju: imperialistyczną politykę socjalistycznego rządu, której jak to się wyraził poseł Zilliacus, uczciwi socjaliści angielscy muszą się wstydzić i walczyć o jej zmianę.

Irena Pancerz-Grabowska

Reakcja w odwrocie

Ostatnia sesja Zgromadzenia Generalnego ONZ, zakończona 15 grudnia 1946, ma za sobą duże osiągnięcia.

Postawiony przez delegację sowiecką wniosek o ograniczenie zbrojeń zmierzał do stwierdzenia przez ONZ konieczności powszechnego rozbrojenia i do konieczności zakazu produkcji energii atomowej dla celów wojennych. Rezolucja w tej sprawie, po długich debatach, została przyjęta jednomyślnie, stwarzając podstawę do dalszej pracy nad tymi kwestiami Radzie Bezpieczeństwa.

Dużym osiągnięciem ONZ jest uchwała w sprawie wycofania przedstawicieli dyplomatycznych z frankistowskiej Hiszpanii, co już 28 państw z pośród 55 członków ONZ, uczyniło. Ponadto przyjęto uchwałę w sprawie dyskryminacji rasowej w południowej Afryce i niedopuszczenia do realizacji zaborczych planów Związku Południowo-Afrykańskiego w stosunku do Afryki południowo-zachodniej. Uchwała o dostarczaniu przez kraje powiernicze informacji o położeniu krajów administrowanych przez nie i o utworzeniu komitetu, zajmującego się zadaniami i uogólnianiem informacyj, otrzymywanych przez ONZ — bierze w obronę ludy kolonialne przed imperialistycznymi apetytami kapitalizmu. Zgromadzenie przyjęło również ważną uchwałę w sprawie współpracy ONZ ze światową Federacją Związków Zawodowych, której nadano pewne specjalne prawa w ONZ.

Wszystkie te uchwały świadczą wymownie o wzroście znaczenia sił demokratycznych, sił postępu i pokoju i ich wpływu na przebieg wypadków międzynarodowych. Dodatnie owoce obrad ostatniej sesji ONZ i Rady Ministrów spraw zagranicznych, przekreśliły całkowicie plany wojenne reakcji międzynarodowej i wprowadziły świat w okres dalszej stabilizacji i długotrwałego pokoju.

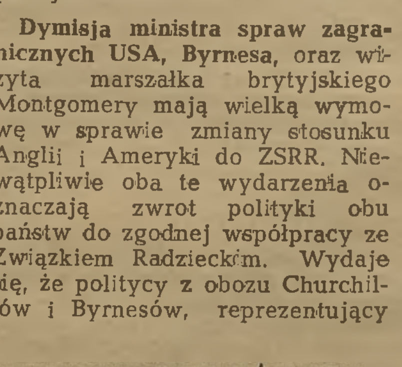
Dymisja ministra spraw zagranicznych USA, Byrnesa, oraz wizyta marszałka brytyjskiego Montgomery mają wielką wymowę w sprawie zmiany stosunku Anglii i Ameryki do ZSRR. Niewątpliwie oba te wydarzenia oznaczają zwrot polityki obu państw do zgodnej współpracy ze Związkiem Radzieckim. Wydaje się, że politycy z obozu Churchillów i Byrnesów, reprezentujący kierunek reakcyjno-prawicowy, zostali zdystansowani przez prądy postępowe, nurtujące narody całego świata.

Rozkład Polskiego Stronnictwa Ludowego i całkowita kompromitacja Mikołajczyka, przy równoczesnym rozgromieniu podstawowych sztabów reakcyjnego podziemia, to fakty gwarantujące stabilizację stosunków w Polsce i dokumentujące całkowite bankructwo bloku PSL-owsko—NSZ-owsko—WiN-owskiego. W Warszawie aresztowały władze bezpieczeństwa organizację, występującą pod nazwą „Komitet Porozumiewawczy Organizacyj i Stronnictw Niepodległościowych Polski Podziemnej". U jednego z aresztowanych ppłk. Wacława Lipińskiego znaleziono w fajce skręcony w rulonik list do Mikołajczyka, w którym podziemie wzywa go do ogłoszenia bojkotu wyborów. Przed tym faktem było już wiadomo z rozgłośni londyńskiej, że Mikołajczyk ma zamiar zbojkotować wybory. Dokument przychwycony w fajce pułkownika jasno uzasadnia, z jakąby to było korzyścią dla podziemia, a z jaką szkodą dla rządu demokratycznego w Polsce. Wiadomo, że Mikołajczyk spotkał się z dużym sprzeciwem wśród wielu działaczy PSL i że decyzja w tej sprawie miała zapaść na specjalnie w tym celu zwołanym posiedzeniu NKW. PSL. Wiadomo również, że Mikołajczyk na skutek ujawnienia jego korespondencji z podziemiem musiał swój wniosek wycofać i PSL idzie jednak do wyborów.

Stało się więc inaczej, niż sobie to wrogowie Polski Ludowej uplanowali. Siły polskiego podziemia zostały u podstaw podcięte, a Mikołajczyk, jako przywódca legalnej opozycji całkowicie skompromitowany.

Wobec tej rzeczywistości wzmógł się jeszcze rozpad w łonie PSL. Z odrazą odwracają się od Mikołajczyka obałamuceni jego frazeologią ci, którzy, jako uczciwi patrioci, potępić muszą zdradziecką, reakcyjną jego politykę. Do wyborów idzie lud polski, reprezentowany przez Stronnictwa Bloku Demokratycznego po zwycięstwo dla dalszej pracy nad utrwaleniem pokoju i praworządności w kraju.

I. P.



My, Polskie Stronnictwo Lisów, idziemy do wyborów osobno!

Prenumerata miesięcz. „Świetlicy Krakowskiej" Prenumerata miesięczna wynosi zł. 19, kwartalna zł. 55.—. Konto P. K. O IV—476.

DZIAŁ LITERACKI

KRZYSZTOF SIEWICKI

JULIUSZ SŁOWACKI*)

Juliusz Słowacki, jeden z najpotężniejszych geniuszów poetyckich świata, urodził się w Krzemieńcu na Wołyniu, dnia 4 września 1809 roku

Po śmierci ojca, profesora literatury na uniwersytecie wileńskim — Euzebiusza Słowackiego, pozostaje pięcioletni chłopiec pod wyłączną opieką matki, która w pięknym dworku krzemienieckim stworzyła mu idealne warunki dzieciństwa. Opromieniona miłością jedynego syna, uwieczniona w latach późniejszych na kartach jego dzieł — przeszła Salomea Słowacka do literatury polskiej na równi z innymi bohaterami arcydzieł wielkich pisarzy.

Obrazy przyrody krzemienieckiej i środowiska, w którym się Juliusz Słowacki wychowywał, zapadły mu w mu w duszę na całe życie i stały się dla niego tym, czym obrazy Litwy dla Mickiewicza. Jest to naprawdę dla poety *„ojczyzna... krwią i miodem płynna"*.

Te wrażenia krzemienieckie urywają się w dziewiątym roku życia. Matka Słowackiego wychodzi powtórnie zamąż za dra Augusta Becu, profesora higieny na uniwersytecie wileńskim i wraz z synem przenosi się do Wilna. Otoczenie zmienia się zupełnie. Atmosfera cichego dworku ustępuje gwarowi życia towarzyskiego. I tak od najmłodszych lat styka się Juliusz z najwybitniejszymi przedstawicielami nauki i sztuki. Wcześnie też zapoznaje się z dawnymi i nowymi dziełami z zakresu literatury pięknej.

W r. 1825 ukończył Słowacki gimnazjum i zapisał się na uniwersytet, co jednak nie przeszkadzało mu w poświęcaniu czasu na lekturę a zwłaszcza na zabawy. Wtedy też przeżył pierwszą swą miłość, która pozostawiła w jego sercu niezatarty ślad na całe życie i która wiele kart naszej poezji zapełniła arcydziełami. Miłość ta pozostała bez wzajemności, gdyż panna *Ludwika Śniadecka* odrzuciła poważne propozycje siedemnastoletniego poety.

Po ukończeniu studiów przenosi się Słowacki do Warszawy, gdzie dzięki staraniom matki otrzymuje posadę w Komisji Skarbu. Ale praca nudziła go i dręczyła. W takich warunkach przyszła do głosu wyobraźnia. *„W imaginacji zacząłem słyszeć głosy, którym się oprzeć nie mogłem i, raz zacząwszy pisać, utworzyłem wszystkie prawie zawarte w dwóch tomach poezje w przeciągu półtora roku"*, — powiada w *„Pamiętniku"*. Owe dwa tomy, na które składało się kilka powieści poetyckich i dwie tragedie, zamierzał Słowacki ogłosić drukiem. Lecz wkrótce wybuchło powstanie Listopadowe 1830 i życie poety potoczyło się zupełnie inaczej. Wkrótce nazwisko jego staje się głośne wraz z innymi wybitnymi poetami ruchu wolnościowego. Z zapałem przyjęty został jego rewolucyjny *„Hymn"* do Bogarodzicy.

Zły stan zdrowia nie pozwala Słowackiemu na wzięcie bezpośredniego udziału w walce. W marcu 1831 wyjeżdża z Warszawy przez Drezno do Londynu, jako specjalny wysłannik Rządu Narodowego. Następnie, nie mogąc wracać do kraju po upadku powstania, udaje się do Paryża. Tam też w r. 1832 wydaje przygotowane zdawna dwa pierwsze zbiory poetyckie. Świetna forma artystyczna nie równoważy się w nich jednak z głębią przeżyć. Nie bez słuszności nazwał podobno Mickiewicz ową poezję prześliczną świątynią, ale bez Boga.

Lecz jako punkt wyjścia wystarczyła właśnie świetna forma. Ona, wzbogacona potem rozpiętością i siłą uczuć dała poecie tytuł do nieśmiertelnej sławy — ona też była przyczyną częstego niezrozumienia poety przez ogół. Szczególnie trudno zdobyć było popularność — dla artystycznego piękna w gronie rozgoryczonych emigrantów, których zainteresowania, pragnienia i działalność zamykały się raczej w sferze spraw politycznych czy wojskowych. Ten brak zrozumienia ciążyć będzie nad Słowackim całe niemal życie, i w przeciwieństwie do opromienionego sławą i uwielbieniem Mickiewicza, odniesie Juliusz dopiero pełne *„za grobem zwycięstwo"*. Stąd jego smutek i zapatrzenie w siebie, obok niezaprzeczalnie głębokiego i szczerego stosunku do spraw ogólno-narodowych.

Pierwszym jego zakrojonym na wielką miarę dziełem jest *„Kordian"*, dramat osnuty na tle wypadków poprzedzających powstanie listopadowe. Utwór ten zawiera nowy okres twórczości Słowackiego, okres wielkiego rozwoju, pędu do doskonałości. A doskonałość ta będzie rosła równolegle z coraz większym uduchowianiem się samego twórcy; deklamacyjność i krzykliwość patriotyzmu zacznie w miarę tego ustępować miejsca tonom cichszym, ale głębszym, dobytym nie z wyobraźni, lecz z serca przesyconym uczuciem i pełnym prawdy, dzięki temu zaś niesłychanie potężniejszym.

Sięga Słowacki po tematy z przeszłości Polski, i tak powstają jego dramaty *„Mazepa"* i *„Balladyna"*, oraz niedokończona tragedia, nazwana później *„Horsztyńskim"*.

Z Genewy, w której podówczas przebywał wyjeżdża poeta w podróż do Włoch, a później poprzez Grecję na Bliski Wschód. Pisze w tym czasie szereg pięknych utworów poetyckich, z których najważniejszym jest poemat *„Anhelli"*. Arcydzieło to przepojone jest beznadziejnym smutkiem, wynikającym z ówczesnej tragicznej sytuacji Polski, a którą to sytuację oddał poeta w przedstawieniu losów wygnańców, przebywających zdala od ojczyzny.

W grudniu 1838 r. przenosi się Słowacki do Paryża, który odtąd już do końca życia miał być głównym miejscem jego pobytu. Trzy pierwsze lata tam spędzone należą w twórczości Słowackiego do najpłodniejszych. Pisze szereg tragedyj, z których najświetniejszą jest, oparta na legendarnych dziejach Polski — *„Lilla Weneda"*. W pięknych poetycko i uczuciowo symbolach utrwala poeta aktualne momenty i sprawy naszego życia narodowego. Twórczość jego staje się wyrazem surowego sądu, jaki wydaje o możnowładcach i szlachcie, będących przyczyną klęsk i niewoli Polski. Przeczuwa dojście do głosu najszerszych mas ludowych, przepowiada odtrącenie i rozkład tych, których nazywa *„czerepem rubasznym"*.

Trwalsze blaski sławy i popularności za życia przynosi Słowackiemu wielki poemat pt. *„Beniowski"*, który obok akcji dotyczącej losów głównego bohatera, zawiera szereg wstawek lirycznych i aktualnych, ciętych satyrycznych aluzyj do przeciwników Szczególnie mocno uderzył poeta na Mickiewicza, z którym miał oddawna szereg sporów, wynikających ze spraw osobistych i literackich. Lecz w aktach tych nie wychodzi nigdy poza granice bezstronności i szacunku dla przeciwnika. Szlachetność metod walki była zawsze charakterystyczną cechą Słowackiego.

Beniowski, awanturnik węgierski, wsławiony zdobyciem Madagaskaru, chwilowo związany z konfederacją barską — nęcił wyobraźnię Słowackiego oddawna. Bohatera swego, wypędzonego z rodzinnego domu przez wierzycieli, prowadzi pod Bar, a stamtąd na Krym — ale obok niego gromadzi inne postacie: księdza Marka i Sawę-Calińskiego, nie licząc figur epizodycznych, i dwie bohaterki: starościankę Anielę i dziewczynę kozacką, siostrę Sawy, Swentynę. Z postaci tych składa poeta sceny przeróżne: sentymentalne i komiczne, poważne i groźne, a zawsze pełne świeżości i czaru. Obok tych wszystkich postaci jednym z głównych bohaterów staje się sam Słowacki, a osobiste jego wspomnienia, wyznania, obrony, przycinki i ataki zajmują conajmniej trzecią część poematu. I właśnie w tych osobistych dygresjach, które raz po raz przerywają dzieje romantycznego bohatera leży główny urok, piękno i znaczenie poematu. Dla poznania Słowackiego jest to źródło nie tylko pierwszorzędne, ale najważniejsze: prawie wszystkie cechy duchowe, swe poglądy, zapatrywania społeczne, polityczne, religijne, literackie, swe umi-

*) Artykuł niniejszy opaty jest na wstępie T. Piniego do „Dzieł J. Słowackiego", Warszawa 1933.

łowania i niechęci, swe plany i nadzieje — wszystko to wciąga Słowacki w poemat z dziwną szczerością.

Po r. 1844 następuje ostatni okres twórczości poety, okres, związany częściowo z popularnym wtedy ruchem mesjanistycznym, na którego czele stał u nas głośny mistyk *Andrzej Towiański.* I nawet Słowacki, umiejący trzeźwo i surowo dostrzegać przyczyny naszych tragedii narodowych, dał się ukołysać mglistym teoriom o Polsce-Chrystusie narodów, która cierpi za grzechy całego świata. Na korzyść poety przemawia jednak fakt, iż nawet w tym klimacie duchowym zachował swą niezależność. Zerwał po pewnym czasie kontakty z Towiańskim, a teoriom idealistyczno-mistycznym, których odzwierciedleniem była jego „Genezis z Ducha", umiał dać własny oryginalny wyraz. Z tych czasów pochodzą wyróżniające się spośród innych utworów: dramat pt. *„Samuel Zborowski"* oraz wielki, niedokończony poemat „Król-Duch", urzekający pięknem poetyckiego wyrazu i ukochaniem idei zmartwychwstania Polski. Poeta, wyniszczony chorobą, samotnością i tęsknotą za krajem i bohaterką jego *„Listów"*, matką, — zdobywał się na taki hart ducha, który pozwalał zapominać mu o własnych troskach, a przejąć się sprawami o znaczeniu powszechnym. Jego najszczerzej demokratyczne przekonania odzwierciadlają się choćby w prowadzonym w latach 1846—1848 sporze z *Zygmuntem Krasińskim* o sprawę ludową. W r. 1848 spotkało go też wielkie szczęście osobiste: spotkał się z przebywającą na terenie zaboru pruskiego matką swą, Salomeą — kiedy wyruszył do kraju, podniecony rewelacyjnymi wypadkami „wiosny ludów". Nie otrzymawszy pozwolenia na stały pobyt w ojczyźnie, wraca do Paryża i tam, 3 kwietnia 1849 umiera. Pochowany na cmentarzu Monmartre, zostaje w r. 1927 sprowadzony do Polski i spoczywa w grobach królewskich na Wawelu.

Kiedy obejmujemy myślą spuściznę poetycką Słowackiego, ogarnia nas zdumienie i podziw. On, który spośród naszych wielkich poetów żył najkrócej, był najpłodniejszym z nich i najwszechstronniejszym. Niezrównany liryk, jest najgenialniejszym naszym dramaturgiem, a w zakresie epiki stwarza takie arcydzieła, jakimi są „Beniowski" i „Król-Duch". Wszystko, czego się dotknie, zmienia w brylanty najwspanialszej poezji. Poezji, wynikłej z genialnej wyobraźni artystycznej.

Juliusz Słowacki — to jeden z kilku największych poetów polskich, to jeden z najwybitniejszych poetów świata.

Krzysztof Siewicki.

JULIUSZ SŁOWACKI

Testament mój

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami —
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny;
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A, jakgdyby tu szczęście było, idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni ani dla imienia;
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica.
I będzie jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode —
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę.

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą.
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb, oraz własną biedę;
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę —
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec —
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... Taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna
Co mi, żywemu, na nic — tylko czoło zdobi,
Lecz po śmierci was będzie gniotła, niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi.

Hymn o zachodzie słońca

Smutno mi, Boże! — Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą,
Przede mną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy, z podniesioną głową
Stoję, rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową:
Ciszę błękitu —
Ale przed Tobą głąb serca otworzę:
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski...
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkim morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Widziałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem prawie nie znał rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu.
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę —
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nie oddane kolumnowym czołom;
Alem jest, jako człowiek, co zazdrości
Mogił popiołom...
Więc, że mieć będę niespokojne łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień — a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie...
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie, w sto lat będą po mnie,
Patrzący — marli.
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

Pisałem o zachodzie słońca, na morzu przed Aleksandrią (dnia 20 października 1836).

KORNEL FILIPOWICZ

ZRZUT*)

Bukowska czuje się osamotniona ilekroć męża nie ma o tej porze w domu. Nie masz się z kim kłócić, — powiedziałby jej, gdyby mu się z tym zwierzyła. Zakończyła nie spiesząc się, wszystkie czynności gospodarskie i zajęła się porządkami. Mały, okrągły zegar ścienny w sąsiednim pokoju wydzwonił prędko, raz za razem, dziesiątą. Dopiero co zaszedł — pomyślała i aby zbyć jak najwięcej czasu, zaczęła jeszcze raz porządki, tym razem naodwrót, od ostatniego przedmiotu, na którym je skończyła.

Po raz któryś przechodziła już w myśli drogę aż do miejsca gdzie udał się jej mąż. Była to pusta, lekko wzniesiona płaszczyzna pól między lasem a rzeką. O tej porze podeschnięta od wierzchu, a od spodu rozmiękła, gorsza jak bagnisko, bo chwytająca stopy jak w kleszcze i obciążająca buty kilogramami balastu. (Kto tam w marcu brodzi na przełaj przez pola, chyba wariat). Blisko dwie mile trzeba było iść drogą, a potem jeszcze z półtora kilometra miedzami. Pewnie podjechał furmanką, nie polazł przecież taki kawał piechotą. Stara się przezwyciężyć i zatrzymać bieg szybkonogiej wyobraźni, która przenosi ją ponad tak dobrze znanymi odcinkami drogi. Nie udaje się jej jednak zmusić myśli do wleczenia się krokiem piechura. Oto wyszła z domu, zamknęła poza sobą furtkę, robi kilkanaście kroków, mijając mostek na strudze i nagle, jak uniesiona powietrzem ponad łąkami i polami, w tejże samej chwili znajduje się u zakrętu, skąd już niedaleko do sąsiedniej wsi. Przez wieś udaje się jej na chwilę powściągnąć pośpiech wyobraźni, mija kościół i sklepik z drewnianym gankiem, zaraz jednak za nim czuje się znów wyrzucona w powietrze, jakby ją nagle pozbawiono ciężaru. Zniechęcona wraca z powrotem do siebie i zajmuje się przedmiotami, których dotykalny kształt napełnia ją kobiecą satysfakcją. (Ktoś obserwujący ją, zauważyłby, że to co robi to już nie jest prosta czynność, to jakieś porządki porządków. Przestawia na przykład kolejność puszek z napisami „sól", „pieprz", „goździki", „kminek", jakby odnalazła jakąś doskonalszą ich hierarchię).

W pewnej chwili pies odzywa się dwa razy krótko, kończąc przeciągłym zawiedzionym pomrukiem. Pewnie Cieślowa. Cieślowa poprawia chustkę pod brodą: Wpadła ot tak po drodze, widząc że się świeci. Rozpoczyna się z wiejską dyplomacją rozmowa o niczym, choć obie wiedzą, że mąż jednej, a syn drugiej poszli razem. Jaka pogoda, Cieślowo? — pyta się Bukowska, zamiast po prostu „jaka noc". Było cały dzień chmurno, ale pod wieczór pozimniało i wypogodziło się. Resztki drobnych, srebrzystych chmur zamiatał wschodni wiatr. Wschodził księżyc bliski pełni, rozświetlając przeraźliwie krajobraz. Obie wychodzą za próg i patrzą z niepokojem, jaki przeżywają zwierzęta i kobiety, na widok tej odległej, jasnej tarczy, błyszczącej niezrozumiałym, obcym światłem.

— „Lepsza droga w taką widną noc" — zauważa Cieślowa. Ale Bukowska nie odpowiada, bo nagle zdaje się jej, że usłyszała coś, że złowiła uchem jakiś lekki brzęk, podobny do grania niewidocznych drutów telegraficznych. Przesłyszała się jednak widocznie, bo nie jest w stanie zatrzymać tego wrażenia ani na sekundę. — „Nie dla wszystkich, nie dla wszystkich moja Cieślowo" — odpowiada. Znów milczą przez chwilę, gdzieś na skraju wsi szczeka pies wzbudzając odzew u wszystkich stróżów, nawet Bury szczeka parę razy, ale milknie nasłuchując. Jest tak cicho, że słychać bełkot wody wylewającej się z drenu za ogrodem. Teraz jednak słyszą obie wyraźnie dźwięk płynący z góry. Podnoszą głowy, ale niesposób jest nic dojrzeć wśród płynących w jedną stronę obłoków, a w drugą księżyca, na tle nieruchomych ostrych gwiazd. Buhuhuhuhu — buhu — buhu — buhuhuhuhu — buhu, — pomrukuje samolot gdzieś w głębokich otchłaniach nieba. Wsłuchują się w ten ledwo dostrzegalny dźwięk z taką trwogą, jakby nasłuchiwały czyjegoś oddechu.

Bije godzina jedenasta. Powoli brzęk motoru cichnie i staje się niesłyszalny, co najwyżej można się domyśleć jego kierunku. Stoją jeszcze chwilę, lecz w momencie kiedy poczuwszy przenikliwy ziąb chcą zawrócić do kuchni, — samolot odzywa się znów, jakby nagle przebił się przez jakąś upartą zaporę głosową. Słychać znowu faliste huczenie, czyściej i jakby bliżej, — lecz nagle — co to?— głos ucina się jak nożem, jakby go dosięgła niewidzialna strzała. Zapanowuje długa chwila absolutnej i niezrozumiałej ciszy, po której gdzieś daleko, na końcu horyzontu wynurza się znów gasnący zwolna brzęk samolotu. Nie rozumieją dobrze co się tam dzieje, lecz z ulgą witają odnaleziony znowu dźwięk, jak ktoś współczujący ze ściganym zwierzęciem, gdy widzi że dopadło drogi, na której może już sobie drwić z pogoni. Wracają do kuchni. Cieślowa opuszcza chustkę na plecy i przysiada na krześle. Bukowska wychodzi jeszcze po parę gałęzi na podwórze, aby utrzymać cienki ogień pod blachą; kto wie o której wróci, zmarznięty i głodny? Nagle, z podwórza słychać głośny szept: „O Jezu — Cieślowa — strzały!" — Rzeczywiście, z bardzo daleka, słabe puknięcia powietrza, z kilku miejsc i jakby z różnej broni, — a potem seria szybkich wystrzałów z broni maszynowej. To nie próba pistoletu, ani salut mijających się z fantazją patroli organizacyjnych. To jest walka. Znów kilka luźnych strzałów. Jak czują się nieszczęśliwe; jakże samotne są kobiety, gdy nie wiedzą, gdy nie wolno im rozumieć spraw, które je tak obchodzą. Tak niewiele wiedzą o niebezpieczeństwach, na które się narażają ich mężczyźni. Mogą się ich zaledwie domyślać. Niewiadomo też, czy ten niepokój i cierpienie, jakie przeżywają skazane na czekanie, nie warte jest tyle, co bohaterstwo ich mężów i synów, uczestniczących bezpośrednio w walce i niebezpieczeństwie.

*) Rozdział II powieści pt. „Księżyc nad Nidą".

Współczesne malarstwo polskie



Zbigniew Pronaszko: Portret.



Zbigniew Pronaszko: Kabała.

Po odejściu Cieślowej, Bukowska siada w kuchni, przykręcając lampę i pogrąża się w niespokojnej drzemce. Nie śpi, słyszy bowiem każde stuknięcie w stajni, każde poruszenie skrobiącego się w budzie psa i pierwsze wczesne pianie kogutów. Wreszcie u końca czekania, już po trzeciej nad ranem, rozlega się skrzypnięcie furtki, szurgot wyciąganego na całą długość łańcucha, a potem tak dobrze znane, nieco ociężałe kroki męża. Podrywa się nagle i otwiera drzwi z zasówki. Bukowski wchodzi zataczając się lekko na nogach, jak człowiek trzeźwiejący po wielkim pijaństwie.

— „Ściągaj zaraz buty" — mówi do męża, ale robi mu to sama, przyklękając i obejmując przez fartuch oblepioną błotem cholewę.

— Co to były za strzały? — Tak się bałam o ciebie.

— Było aż tu słychać? — A, to nic — wiesz to taka „przestrzałka" z narodowcami" — odpowiada niechętnie poruszając palcami w skarpetce.

— Jakto? Strzelali do was? — zastyga w połowie drogi między kuchnią a stołem z rynką przykrytą talerzem w rękach.

— No jakżeż, strzelali, — może niekoniecznie do nas, nie mamy żadnych strat, — ale — przerywa nagle przypomniawszy sobie coś: „wiesz, weź zaraz buty do cebrzyka i obmyj je wodą z błota". — Zdejmuje pas z kurtki, skręca i chowa do kieszeni. Potem zabiera się do jedzenia.

— Ma rację Zawada, mówiąc o nich, że starają się robić wrażenie, jakby byli... antyhitlerowcami. Strasznie gorące, nie mogę jeść. Co ty nie spałaś aż do tej pory?"

— Z początku była Cieślowa. Wiesz jak to ona. Gadałyśmy trochę. Potem zaczęły jechać samoloty. Powiedz, dlaczego w pewnej chwili zdawało się jakby motor przestał iść, myślałam, że wylądował, albo że coś się stało.

Bukowski niecierpliwi się ile razy rozmowa schodzi na fachowe tory. W pewnej chwili nie rozumie o co jej chodzi. „Motor przestał iść?" Nie zauważył nawet tego. — „Ach no tak, — wyłączył motor aby się zniżyć. Znalazł nas dosyć prędko za drugim okrążeniem, pole było oznaczone czerwonym i zielonym światłem. Wysypał co miał do zrzucenia, dodał gazu i poszedł. Dwie skrzynie — pewnie z amunicją, bo ciężkie jak sto diabłów, — zaryły się tak w ziemię, że trzeba było odkopywać, — na szczęście przy innych dwóch znaleźliśmy łopaty przypięte na wierzchu. Kiedy się rozległy pierwsze strzały, byłem właśnie koło skrzyń. Nie wiem jak do tego doszło. Zaczęło się naturalnie od tak zwanej wymiany zdań. Podobno z początku w dosyć grzecznej formie, starali się wyperswadować naszym czujkom, że to jest dla nich zrzut. Rozkaz był „nikogo nie przepuszczać". Ale taki rozkaz w gruncie rzeczy, na chłopski rozum, dotyczy właściwie Niemców. Niestety, tak go zrozumiał jakiś Staszek czy Józek, którego zawołano po imieniu z tamtej strony: „Jesteś tam? — No to nie rób hecy".

Przeszli wprawdzie przez czujkę, ale ten sam Staszek czy Józek, nie musiał mieć tak całkiem czystego sumienia, bo poleciał przed nimi zawiadomić czatę. Tam się dopiero zaczęła szarpanina, ktoś strzelił, — to już nawet nie wiadomo z której strony. Wtedy wybuchła dopiero strzelanina, powiadam ci, że wyglądało jakby ktoś tylko na to czekał. Zaczęli pruć jak opętani z pistoletów maszynowych, których tyle mają. Przemknęło mi wtedy przez myśl, czy ktoś, kto tak głośno strzela dla samego strzelania, nie chce być przypadkowo przez kogoś innego usłyszanym. Postrzelali i poszli. Przyznam ci się, że zachowywałem się cały czas jak człowiek, przypatrujący się z boku atakowi jakiegoś szaleńca. Nie wiem skąd się we mnie wzięło tyle opanowania. Zawada przyleciał już po ich odejściu; ubezpieczał ze swoim plutonem pole zrzutowe od strony rzeki. Ten ma z nim „szpargę" — jak powiada — nie od dzisiaj. Zaczęliśmy szukać za dowódcą kompanii, ale okazało się, że go nie ma, podwiózł nas tylko na miejsce, — rozstawił i wsiadł z powrotem na furmankę. Zawada się wściekał. Swoim zwyczajem śmiał się i krzyczał na zmianę: „Wy to nazywacie nieporozumieniem? — Mniejsza z tym czy przyjęli nasz szyfr przez radio, — domyślili się, czy też przychwycili jakąś informację. Oni chcieli ściągnąć nam na głowę Niemców — to jasne!" — Postanowiliśmy nie wracać z zrzutem drogą, jaka była przewidziana w rozkazie i ominąć miejsca, gdzie miał być zamelinowany. Nie odbyło się to bez trudu przez głupi upór dowódcy trzeciego plutonu, który samowolną zmianę rozkazu, uważał za złamanie dyscypliny, groził odpowiedzialnością i tym podobnymi bredniami. Dopiero zmiękł, kiedy mu Zawada powiedział, że większą odpowiedzialnością obarczylibyśmy się, narażając zrzut na przejęcie przez Niemców, a ludzi na straty, niż zmieniając rozkaz pod naciskiem okoliczności. Przewieźliśmy więc skrzynie na drugą stronę Nidy; nie obyło się bez wyciągania spod pierzyny przewoźnika, bo woda okazała się duża, a szukanie za brodem zajęło by nam czas pewnie do świtu".

Bukowski kończy jedzenie kolacji, potem zdejmuje zasłonę z okna, wpuszczając blade światło chmurnego, wiosennego poranku. Podwórze pogrążone jest w bezruchu; nie często widuje go o tej porze. Zauważa na nim jakiś niezwykły porządek, jakby powierzchnia została bardzo starannie zamieciona. Odłamki gałęzi, rozlatujące się zwykle dokoła spod siekiery zagrabione są na kupkę. Poznikały cegły i kamienie walające się koło chlewa. Krótka trawa przerośnięta rumiankiem, wdzierająca się z czterech rogów podwórza na wydeptaną przestrzeń, wydaje mu się zieleńsza niż zwykle. Ostro rysują się w powietrzu podłużne pączki gruszy, rosnącej pod oknami. Po chwili spostrzega też, że szyby, przez które patrzy, wytarte są do czysta przez żonę, która zapewne pod jego nieobecność robiła generalne porządki. Poprzez wyczyszczone szkło, dostrzega coś bardzo wzruszającego, czego dotąd nie zauważył, — pierwszy dzień wiosny. Być może nie interesował się tym, lub może granica przesuwającej się pory roku stała się dzisiaj po raz pierwszy widoczna, po ocieplającej się nocy, w ciągu której trawa podskoczyła nagle w górę, a pączki gruszy wezbrały do ostatecznych swoich rozmiarów, poza którymi wybuchną już różowymi kwiatami. Bukowski rozczula się na chwilę wzruszeniem wdzięczności i satysfakcji wobec żony i świata. Tym bezinteresownym wzruszeniem, jakie nachodziło go czasem dawniej, za czasów kawalerskich, gdy po powrocie z jakiegoś wstrząsającego pijaństwa, lub za czasów podchorążackich po powrocie z ciężkich nocnych ćwiczeń, — spostrzegał nagle jakąś dziwną dosłowność, oczywistość świata, wraz z czułym stosunkiem do jakiejś bliskiej osoby.

Zapala papierosa, który odpędza mu resztkę snu z oczu, mimo, iż odczuwa wielkie zmęczenie w całym ciele, szczególnie dotkliwą obecność nóg, które przebiły dzisiejszej nocy z górą dwadzieścia kilometrów grząskiego błota dróg, tępych miedz i nieznośnej, kleistej glinki ornego pola. Najchętniej nie kładłby się już dzisiaj na te trzy czy cztery godziny do łóżka, ale odczuwa potrzebę, niemal nakaz powrotu do zwyczajnego życia, tak jakby potrzebował — w obawie przed samym sobą, — wyrobienia jakiegoś najbardziej prawdopodobnego alibi. Skręca jeszcze jednego papierosa i zaczyna się powoli rozbierać. Dopiero w chwili, gdy wyciąga się na całą długość w łóżku, opada go zmęczenie nie do opanowania, jakby osłabienie, dosięgnąwszy już wreszcie odpoczynku, nie czuło już dalej obowiązku powściągania samego siebie. Zasypia kamiennym snem o tej porze, gdy ludzie przewracają się niespokojnie z boku na bok, wynurzając się z otchłani snu na powierzchnię ich codziennego życia.

(Dalszy ciąg nast.).

ZYGFRYD SAWKO

O ZMIERZCHU

Pukiel łba wierzbowego przy stawie.
Jeszcze głownia zielonych płomieni
gra listowiem — a już w tataraku
mgły się pysznią jak ogony pawie.

Wierzby tej stąd nie uda się przenieść!
— tak w zielonym jej żarze łka słowik.

Ileż sił się mieści w piersi ptaka.

WITOLD ZECHENTER

O LITERATURZE I ŻYCIU

(Na marginesie książek Juliusza Kleinera „Romantyzm", K. W. Zawodzińskiego „Rzut oka na literaturę polską 1945 roku" i Jana Brzozy „Dzieci").

Lubelska Księgarnia Wydawnicza „Lamus' wypuściła ostatnio na rynek wiele pozycyj bardzo wartościowych, jeśli patrzymy na nie z punktu widzenia udostępniania oświaty, ułatwiania przy rozpowszechnianiu kultury. Wydawnictwa tej księgarni, ukazujące się w różnych seriach skrótów, opracowań i charakterystyk, mogą być doskonałą pomocą przy nauczaniu pozaszkolnym zarówno dla uczącego jak dla ucznia. Wśród autorów tych biblioteczek „Lamusa" wymienić należy dr Dłuską, dr Araszkiewicza, dr Kawyna — a przede wszystkim znakomitego uczonego, prof. Uniwersytetu Lubelskiego dr *Juliusza Kleinera*, najświetniejszego dziś znawcę epoki romantyzmu, a zwłaszcza Słowackiego i autora nieocenionych dzieł o tym okresie, a przede wszystkim wspaniałej monografii o autorze „Króla Ducha".

W serii charakterystyk prądów w literaturze polskiej ukazała się właśnie broszura prof. Kleinera *„Romantyzm"*. W niezwykle przejrzystym wykładzie, na najwyższym napięciu skondensowanej treści, a jednak napisanym tak przystępnie, że każdy czytelnik — nie tylko zaawansowany w nauce literatury — znajdzie prawdziwy pożytek dla siebie, czytając ten rodzaj podręcznika, omawia znakomity uczony całość zagadnienia romantyzmu rozpoczynając od historii tego określenia, następnie wyszczególniając istotne cechy tego prądu, a potem przechodząc do syntetycznego omówienia historii romantyzmu poza literaturą polską, w końcu w Polsce. Broszura prof. Kleinera winna się znaleźć we wszystkich bibliotekach samopomocy kulturalnych, w świetlicach i wszędzie, gdzie realizuje się tak słuszne hasło udostępniania i rozpowszechniania kultury.

Podobną rolę jako przewodnik po najnowszej literaturze polskiej spełnić może broszura znanego krytyka i historyka literatury, zwłaszcza współczesnej, *Karola W. Zawodzińskiego* pod tytułem *„Rzut oka na literaturę polską w 1945 roku"*, która ukazała się nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich Oddział w Poznaniu jako tomik z serii „Biblioteki Życia Literackiego". Czasopisma, jakie spotkać można w świetlicach, mało zajmują się oceną istotną i zasadniczą bieżącej produkcji literackiej albo też hołdują niedemokratycznemu nawykowi tendencyjnego wysuwania pewnych pozycyj a przemilczania innych ze względu na tendencję utworu a nie bacząc na jego walory literackie. Broszura Zawodzińskiego, będąca zbiorem artykułów jego na tematy bieżącej produkcji literackiej, wypełnia braki. Jest ona w dużym stopniu pracą rewizjonistyczną, przy czytaniu której w wielu wypadkach można się zgodzić, w wielu nie zgodzić z autorem, niemniej jednak każdy, obznajomiony z literaturą współczesną, znajdzie w niej doskonałego przewodnika po wszystkich dziedzinach pisarskiej produkcji bieżącej. Zawodziński omawia współczesne czasopisma literackie, następnie wszystkie działy literackie, a więc krytykę literacką, poezję, powieść i nowelę, dramat, niezwykle interesująco i trafnie precyzuje zasadnicze podłoża sporu o realizm, w końcu syntezuje stosunek bieżącej twórczości do twórczości międzywojennego dwudziestolecia, czyniąc interesujące paralele. Znakomity krytyk występuje jasno i otwarcie z własnym poglądem na sprawy literatury, nie oglądając się na takie czy inne chwilowe koterie i stawiając sprawę otwarcie, z punktu widzenia pewnych niemilknących i nigdy nieprzemijających praw literackich.

Gdyby czytelnik tej recenzji przeczytał obie broszury, a następnie pragnął — dla odpoczynku myślowego — zmiany lektury na powieściową, poradziłbym książkę, która niewątpliwie winna znaleźć się we wszystkich bibliotekach świetlicowych. Jest to nowe wydanie znanej, przedwojennej powieści *Jana Brzozy* pod tytułem *„Dzieci"*. To nowe, trzecie już z kolei wydanie, ukazało się się w nakładzie katowickiego wydawnictwa „Mewa". Dlaczego poleciłbym tę powieść czytelnikowi, który nie szuka tylko czczej rozrywki przy lekturze, lecz upatruje w czytanej książce pożywkę i materiał do rozważań? Bo „Dzieci" są powieścią niezwykle silnie zazębioną o życie. Gdy przed wojną czytaliśmy tę powieść Brzozy, wzruszała nas ona jak wielki akt oskarżenia wobec społeczeństwa i pewnych czynników nadrzędnych. Tysiące dzieci, dziesiątki tysięcy marnowało się na tak zwanej „ulicy", zaprzepaszczając z sobą majątek narodowy, jakim jest młode pokolenie. Nikt się o ten majątek nie troszczył, nikt nie zwracał uwagi na to, co się dzieje z duchowym i fizycznym bogactwem społeczeństwa, o którym jedynie dużo się deklamowało, a nic, lub prawie nic dla niego się nie robiło.

Przeszła wojna i okupacja, niszcząc w sposób zastraszający to pokolenie „ulicy", a więc dzieci świata biedaków, świata robotniczego, świata pracy, zmuszone do handlu ulicznego a nieraz i do żebraniny i dewaluujące się w występek bez ręki pomocnej znikąd. Jak więc dzisiaj czytamy nowe wydanie tej powieści, dziejącej się przed wojną?

Niestety, czytamy tę książkę nie tylko jako dokument tego, co było. Czytamy ją wciąż jeszcze jako fotografię rzeczywistości. Wiadomo jest nam wszystkim, że odpowiednie władze i wszelkie czynniki nadrzędne czynią bardzo wiele dla dzieci i młodzieży, starając się o ten nieodwracalny dobytek, o pokolenie, które ma dać za lat kilka czy kilkanaście taki a nie inny wyraz przyszłości naszego społeczeństwa. Wobec jednak potrzeb, które narosły nie tylko wskutek straszliwego spustoszenia wojennego i powojennego, wszystko, co się robi, jest za mało. Musimy wszyscy dążyć do tego, by zniknęły z ulic miast polskich typy, jakie tak świetnie i trafnie opisuje Jan Brzoza w swoich „Dzieciach". Musi zniknąć z ulic żebranina małoletnich, muszą zniknąć tak bardzo wskutek wojny rozpowszechnieni sprzedawcy, którzy liczą sobie po sześć lat, po dziesięć, po czternaście.

Ażeby tak się stało, potrzebna jest także najenergiczniejsza współpraca współczynnika społecznego, ludzi dobrej woli zrzeszonych w stowarzyszeniach i związkach opieki społecznej wszelkiego rodzaju, a przede wszystkim odpowiednia propaganda kulturalna w sferach, gdzie wskutek zajęcia ciężką pracą całodzienną rodzice nie zawsze zdają sobie z tego sprawę, jak wychowuje „ulica" i do czego doprowadzić może nieraz szlachetne i wartościowe charaktery „dzieci ulicy". Dlatego powieść Jana Brzozy jest pozycją nad wyraz wartościową i potrzebną i dlatego dobrze się stało, że ukazała się w nowym, powojennym wydaniu. Nie może ona jednak być tylko lekturą, powieścią jedną z setek nowości — ona jest dokumentem, który domaga się nie tylko pobieżnego przeczytania, ale rozważenia i odpowiedniej konsekwencji społecznej.

Jasny dzień wolności i równości wszystkich będzie dopóty zamglony, dopóki z ulic miast nie znikną dzieci-żebracy i dzieci-sprzedawcy, dzieci-włóczęgi i dzieci-przestępcy, ku tym wszystkim właśnie przestępstwom wychowywani przez „ulicę" przy biernym spojrzeniu społeczeństwa.

Z teatrów krakowskich

MIEJSKI STARY TEATR: „Powrót" R. de Flersa i Fr. de Croisseta.

W formie lekkiej i wesołej komedii, w sposób tak właściwy dla sztuki francuskiej, poruszają autorzy problem poważny, aktualny wszędzie tam, gdzie wojna postawiła swą stopę.

Żona po długich 5-ciu latach rozłąki z mężem, który walczył na froncie oczekuje jego powrotu z niecierpliwością.

Mąż, odznaczony orderami za męstwo — w roli bohatera nabiera w oczach oczekującej go żony nowych, podniecających jej uczucie wartości.

Jakie jest jej rozczarowanie, gdy ten bohater zaraz po powrocie do domu — usuwa przygotowany, jako niespodziankę portret jego w mundurze i wdziewa domowe pantofle...

Rozczarowanie to urasta wreszcie do postanowienia zerwania małżeństwa. Coleta szuka nowych wrażeń w miłości poznanego w czasie wojny oficera marynarki.

Jakub, mąż Colety — który kocha ją wciąż niezmiernie — zgadza się w końcu na rozwód.

Podczas rozmowy ze swym rywalem, w której pragnie upewnić się, czy jest to człowiek wartościowy, okazuje się, że walczyli na jednym froncie. Zapominają o kobiecie, o którą mieli stoczyć ostateczny bój, a toną we wspólnych wspomnieniach wojennych, padając sobie w końcu w ramiona. Fakt ten, tak nieoczekiwany dla Colety spada na jej rozpaloną głowę — kubłem zimnej wody. Coleta wyrzeka się swego kochanka i wraca do szczęśliwego męża.

W ramach tej fabuły rozgrywa się dramat miłosny, często nawiedzający małżeństwa w okresie powojennym. Autorzy stają w obronie zachwianej spójni małżeńskiej. Poprzez żartobliwe słowa — filtrują morał słuszny i szlachetny. Wojna przeorała świat i wszystkich ludzi. Inny jest teraz stosunek nie tylko człowieka do spraw związanych z wszelkimi objawami życia, lecz także człowieka do człowieka. Kobieta odegrała w ostatniej wojnie rolę nie mniejszą niż mężczyzna i stąd nagłe wyniesienie jej do wyżyn faktycznej równości w życiu państwa. Odbija się to często niekorzystnie na pożyciu małżeńskim, gdy dwoje ludzi rozdzielonych frontem i pracą dla frontu spotka się ze sobą znowu.

Mężczyznę nie nawykłego do takiego zjawiska razi całkowita samodzielność i pewna siebie postawa żony, tę zaś brak sentymentalizmu i jakby uczuciowa nieobecność męża. Widzimy to w wypadku Colety i Jakuba. Jak znaleźć jednak „modus vivendi", jak utrzymać rozpadające się małżeństwo? Autorzy komedii przez usta, zakochanego w Colecie od lat przyjaciela Jakuba Baltazara prawią rozkapryszonej, niezadowolonej, szukającej zewnętrznych hałaśliwych oznak miłości kobiecie, słuszny morał: Kobieta, do której mąż z wojny wrócił i nie opłakuje nikogo, ktoby został na placu boju w tej strasznej wojnie — przez sam ten fakt czuć się powinna szczęśliwą.

A co uczynić powinien mężczyzna w takich wypadkach?

Tkliwe słowa miłości, które z długiej wędrówki po świecie, jako zbłąkany list Jakuba, pisany jeszcze w okopach, połączyły znów Coletę z Jakubem — oto recepta dla mężczyzn. Znajdźcie w swym pracowitym dniu, choć jedną chwilę dla żony, która mimo swej emancypacji, jest przecież łaknącą uczucia kobietą.

Doskonała reżyseria Wiktora Biegańskiego, który sam stworzył arcyzabawny typ zakochanego romantyka i niedołęgi w roli Baltazara oraz świetnie opracowana przez Mrożewskiego rola Jakuba podnoszą wydatnie zalety komedii. Mrożewski nie znalazł jeszcze tak odpowiedniej jego typowi roli. Toteż gra jego w tej sztuce odsłania nam talent dojrzały i twórczy. Jadwiga Żmijewska udatnie odtwarzając rolę starzejącej się zhisteryzowanej piękności — matki Colety, jest nieco za młoda, w porównaniu ze swą córką w inteligentnej interpretacji Zofii Jaroszewskiej.

W całości widowisko stwarza miłą niespodziankę, będąc komedią lekką lecz wartościową i co więcej dobrze wystawioną.

Irena Pancerz-Grabowska

Doc. dr BOLESŁAW SKARŻYŃSKI

Składniki żywych organizmów

Wykład w ramaah Radiowego Uniwersytetu Ludowego

Nieprzebrane bogactwo różnych ciał, z jakimi spotykamy się w naszym otoczeniu, jest wyrazem niekończących się możliwości łączenia się różnych pierwiastków chemicznych ze sobą. W otaczającej nas przyrodzie występują 92 różne pierwiastki, ale najczęściej występują one nie jako czyste pojedyncze pierwiastki chemiczne, tak jak dwa najważniejsze gazy, zawarte w powietrzu, tlen i azot — ale jako składniki związków chemicznych, powstających na skutek łączenia się ze sobą dwóch lub więcej pierwiastków. Niektóre pierwiastki występują w przyrodzie rzadko, jakgdyby wyjątkowo, inne są bardzo pospolite i wchodzą w skład wielu związków chemicznych, napotykanych na każdym kroku. Najpospolitszym pierwiastkiem chemicznym jest tlen, jako wolny, czysty pierwiastek, zawarty w powietrzu, a jako składnik związków chemicznych, zawarty w wodzie i wielu minerałach. Dużo jest w świecie pierwiastka krzemu, który jest składnikiem wielu skał. Piasek np. jest połączeniem krzemu z tlenem. Zajęłoby to zresztą zbyt wiele czasu, gdybym chciał wymienić wszystkie pospolitsze pierwiastki chemiczne i ważniejsze związki, w skład których wchodzą one w przyrodzie.

Organizmy żyjące, rośliny i zwierzęta, zbudowane są z tych samych pierwiastków, z jakich zbudowana jest przyroda martwa. Gdybyśmy rozłożyli wszystkie związku chemiczne, będące składnikami naszego organizmu na proste pierwiastki, nie spotkalibyśmy ani jednego pierwiastka, któryby nie był znany jako budulec skorupy ziemskiej, wody lub powietrza.

Tylko częstość, z jaką poszczególne pierwiastki występują w organizmach żyjących, jest inna. Tak pospolity w świecie mineralnym pierwiastek, jak już wymieniany krzem, zawarty jest zazwyczaj w ciele żyjących istot zaledwie w bardzo drobnych ilościach, natomiast na plan pierwszy wysuwa się pierwiastek chemiczny, na ogół niezbyt częsty w świecie martwym, mianowicie węgiel.

Zazwyczaj mówiąc o węglu, myślimy o węglu kamiennym, używanym jako materiał palny w piecu. Ale węgiel kamienny nie jest czystym pierwiastkiem chemicznym. Jest on mieszaniną różnych związków chemicznych, zawierających jako jeden ze składników węgiel w dużych ilościach. Jeżeli chcemy uświadomić sobie, jak wygląda czysty pierwiastek chemiczny węgiel, to pomyślmy o sadzy, którą przecież spotykamy w otaczającym nas świecie raczej wyjątkowo. Wiemy, że sadza może palić się, a to palenie się sadzy jest niczym innym jak łączeniem się sadzy, czyli węgla z tlenem, zawartym w powietrzu. Węgiel znika wtenczas, a powstaje połączenie chemiczne, gaz, nazwany dwutlenkiem węgla, w małych ilościach zawarty zawsze w otaczającym nas powietrzu. Dwutlenek węgla gromadzi się w powietrzu nie tylko na skutek spalania się węgla w paleniskach pieców, ale dostaje się tam z każdym oddechem zwierzęcia i człowieka. My stale wydechamy do powietrza pokaźne ilości dwutlenku węgla. Dwutlenek węgla rozpuszcza się dobrze we wodzie i dlatego woda zawsze trochę tego związku chemicznego zawiera. Łączy się przy tym dwutlenek węgla z wodą, a połączenie to nosi nazwę dwutlenku węglowego, i o ile w wodzie zawarte jest w większych ilościach, nadaje jej smak kwaskowaty. Woda sodowa jest właśnie wodą, zawierającą dużą ilość kwasu węglowego, a unoszące się z wody sodowej pęcherzyki gazu, są banieczkami wydzielającego się z wody sodowej dwutlenku węgla. Kwas węglowy łączy się łatwo z pierwiastkiem chemicznym wapniem na biała nierozpuszczalną we wodzie substancję, noszącą nazwę węglanu wapnia. Tak zwane skały wapienne, tak pospolite przecież w okolicach Krakowa, to właśnie złoża tego węglanu wapnia.

Skały wapienne, kwas węglowy, zawarty we wodzie i dwutlenek węgla w powietrzu, to najpospolitsze połączenia węgla, występujące w przyrodzie martwej. Znamy poza tym węgiel kamienny, będący mieszaniną związków chemicznych, zawierających dużo węgla i ropę naftową, która również zawiera jako składnik węgiel. Ale zarówno węgiel kamienny, jak i ropa naftowa, to twory martwe, które jednak zawdzięczaja swe powstanie istotom żywym. Oba te materiały powstały przed setkami milionów lat z butwiejących szczątków i zwłok roślin i zwierząt. Podobnie również skały wapienne, których składnikiem jest węgiel, zawdzięczają swe powstanie w odległych epokach dziejów ziemi udziałowi żywych organizmów, żyjących w owym czasie w morzach, pokrywających powierzchnię ziemi. Innymi słowy, nawet tam, gdzie węgiel występuje jako składnik świata martwego, można wykazać, że znalazł się w tych połączeniach jako ślad życia, które ongiś krzewiło się na powierzchni ziemi. Obrazuje to nam naj-

CZY JESTEŚ SŁUCHACZEM RADIOWEGO UNIWERSYTETU LUDOWEGO?

WYKŁADY ODBYWAJĄ SIĘ W PONIEDZIAŁKI, WTORKI, ŚRODY I PIĄTKI OD 21.45 DO 22.00.

lepiej ogromne znaczenie węgla, jako pierwiastka chemicznego, wchodzącego w skład świata żyjącego, w skład roślin i zwierząt.

Węgiel wyróżnia się spośród większości znanych pierwiastków tym, że jego zdolność do łączenia się z innymi pierwiastkami jest wprost nieograniczona. Z jednym i takim samym pierwiastkiem odmiennym, np. z wodorem, może węgiel dawać tysiące zupełnie różnych połączeń. Nauka zna dziś więcej chemicznych połączeń, w skład których wchodzi węgiel niż połączeń wszystkich innych pierwiastków bez węgla razem. Dla nas najważniejszym jest to, że spośród olbrzymiej ilości chemicznych połączeń węgla tylko znikoma ilość występuje w przyrodzie martwej. Reszta tej olbrzymiej ilości połączeń węgla, to związki chemiczne, występujące tylko w organizmach żywych, w roślinach i w zwierzętach. Przez długi czas nauka wyobrażała sobie, że tylko żywe organizmy potrafią wytwarzać takie zawiłe połączenia węgla z innymi pierwiastkami i dlatego nazwała związki chemiczne tego rodzaju związkami organicznymi. Jakkolwiek pogląd ten okazał się z czasem niesłusznym i jakkolwiek dziś chemik potrafi w swym laboratorium wytworzyć sztucznie wiele związków organicznych, potrafi węgiel i inne pierwiastki połączyć ze sobą na związki chemiczne, takie same, jakie występują w żywych organizmach, dawna nazwa tych związków utrzymała się. Tę gałąź chemii, która zajmuje się związkami chemicznymi węgla, nazywamy wciąż chemią organiczną, w odróżnieniu od chemii nieorganicznej, badającej połączenia pierwiastków innych niż węgiel.

Żyjące istoty zbudowane są więc przede wszystkim z połączeń organicznych, t. zn. z mniej lub bardziej skomplikowanych połączeń węgla z innymi pierwiastkami. Bogactwo różnorodnych związków organicznych — wchodzących w skład żywych organizmów, da się do pewnego stopnia uporządkować i poklasyfikować. Możemy wyróżnić pewne rodzaje związków, do których należą połączenia chemiczne, podobne do siebie, a odmienne od połączeń innych. Główne składniki organizmów żywych, roślin i zwierząt, możemy ująć w trzy główne klasy związków węgla, możemy je podzielić na tłuszcze, węglowodany i białka.

Tłuszcze są połączeniami, w skład których wchodzi wiele atomów węgla i wodoru, oraz stosunkowo nie wiele atomów tlenu. Są to substancje cechujące się tym, że nie rozpuszczają się w wodzie, a tylko w pewnych płynach, które też są związkami węgla, np. w benzynie. W zwykłej temperaturze naszego otoczenia tłuszcze mogą być cieczami, np. oleje roślinne albo też ciałami stałymi, topiącymi się dopiero za podgrzaniem, np. wszystkie tłuszcze zwierzęce, jak masło, smalec itd.

Druga grupa składników chemicznych żywego organizmu, to węglowodany. Zbudowane są z węgla, wodoru i tlenu, a najpospolitszym przykładem węglowodanów może być dla nas mąka. Bez względu na to, jakiego pochodzenia jest mąka, czy otrzymaną jest z ziaren pszenicy lub żyta, czy też z ziemniaków, jako związek chemiczny jest zawsze mąka takim samym połączeniem chemicznym i to połączeniem bardzo zawiłym. Drobina mąki jest połączeniem prostszych związków chemicznych, dobrze rozpuszczających się w wodzie, mających smak słodki, które nauka nazywa cukrami. Wiele drobin cukru łączy się ze sobą, dając w rezultacie wielką drobinę mąki. W ten sposób wytwarza roślina z prostych cukrów mąkę, którą magazynuje w ziarnie lub w podziemnych kłączach. Zwierzę, spożywając mąkę, rozkłada ją z powrotem na cukier, który organizm zwierzęcy wykorzystuje do swych celów. Zresztą rośliny wytwarzają w swym organizmie jeszcze inne odmiany węglowodanów, mianowicie t. zw. błonnik czyli cellulozę. Jest to związek chemiczny, zawarty w dużych ilościach w każdym drewnie lub źdźble roślinnym, stanowiący jakgdyby sztywny szkielet organizmu rośliny. Błonnik zaliczamy do węglowodanów dlatego, że podobnie jak mąka, zbudowany jest z prostszych cukrów.

Wreszcie pozostaje do omówienia trzecia, może najważniejsza grupa chemicznych składników żyjących organizmów, mianowicie grupa białek. Nazwa tych substancyj wywodzi się od białka jaja, które może być dla nas najlepszym przykładem tych związków chemicznych, wziętym z życia codziennego. Białka są nader zawiłymi połączeniami chemicznymi, zbudowanymi z węgla, wodoru, tlenu i azotu. Ten ostatni pierwiastek jest bardzo ważnym budulcem białek i przez to wybitnie wyróżnia białka od omówionych już tłuszczów i węglowodanów, które azotu nie zawierają. Drobiny białka są tworami bardzo wielkimi, w skład ich wchodzą setki atomów węgla, a sposób łączenia się poszczególnych atomów, z których zbudowana jest wielka drobina białka, stanowi łamigłówkę, której do dziś dnia nauka chemii rozplątać nie zdołała.

Białka występują wszędzie w żywych organizmach. Każdy narząd naszego ciała zbudowany jest przede wszystkim z białek. Białka wchodzą w skład naszych włosów i skóry, białko zawarte jest obficie w mięśniach, w naszych wnętrznościach, nie brak białka w kościach, a pierwszy pokarm, jaki pobiera nowonarodzone dziecko, mleko matczyne, jest płynem zawierającym dużo białka. Przecież ser otrzymywany z mleka, składa się głównie z białka zawartego w mleku. Białka są więc najważniejszymi, najbardziej podstawowymi składnikami żywych organizmów. Bez białka życie byłoby nie do pomyślenia.

Węglowodany, tłuszcze i białka, to główne składniki ciała roślin i zwierząt. Wszystkie te substancje są chemicznymi związkami węgla, pierwiastka, tak ściśle związanego z istnieniem życia na ziemi. Ale w skład żywych organizmów wchodzi jeszcze pewna ilość t. zw. substancji mineralnych, związków nieorganicznych, nie zawierających węgla. Szczególnie kości zwierzęce zawierają dużo tych związków mineralnych, którym zawdzięczają swą twardość. I wreszcie nie możemy pominąć wody. Mniej więcej $^3/_4$ wagi ciała zwierzęcego przypada na zawartą w nim wodę, a rośliny zawierają wody jeszcze więcej niż zwierzęta. Jak ważną jest woda dla życia, o tym wie każdy, kto widział zamierające życie roślinne podczas suszy.

Te powyżej wyszczególnione składniki żywych organizmów nie są bezładnie rozrzucone w ciele żywej istoty, nie są nieuporządkowaną mieszaniną. Występują w odpowiednich proporcjach, są odpowiednio rozmieszczone i tworzą misterną budowlę, w której drobiny białka, tłuszczów i węglowodanów są pojedyńczymi cegłami. Dla oczu chemika ta wielka budowla jest właśnie tym, co my w życiu potocznym nazywamy żywą materią, a więc fundamentem życia.

Dr Bolesław Skarżyński

WYDAWNICTWA NADESŁANE

WYDAWNICTWA PAŃSTWOWEGO ZAKŁ. WYDAWNICTW SZKOLNYCH

Wojciech Klon — Polski Lipiec — sztuka w jednym akcie. Cena zł. 10.—.

Witold Małkowski — Zasady charakteryzacji teatralnej — str. 88. Cena zł. 70.

Tadeusz Żeromski — Poradnik dla reżyserów teatrów ochotniczych, str. 39. Cena zł. 30.

Prof. dr Eugeniusz Rybka — Wiadomości z astronomii — Podręcznik dla II klasy Liceum Humanistycznego. Cena zł. 50.

Janina Przeworska — Kolorowe dzieci — Z ilustracjami Janiny Rosen, str. 144. Cena zł. 110.

Marcin Kacprzak — Chcę być zdrowy — Pogadanki z higieny osobistej dla młodzieży, str. 91. Cena zł 36.

Kazimierz Budzyk — Utwór literacki oraz książka i gazeta, czasopismo — na poziomie ośmioletniej szkoły podstawowej. Wskazówki do nowego programu, str. 120. Cena zł. 40.

Ministerstwo Oświaty — Chłop Polski w dziejach i literaturze. Teksty i dokumenty. Str. 84.

BIBLIOTECZKA NAUCZYCIELA DEMOKRATY:

Dr Żanna Kormanowa — Reforma szkolnictwa w Anglii i we Francji — Przyczynek do sprawy Reformy Szkolnej w Polsce. Str. 72. Cena zł. 28.

Czesław Wycech — Podstawowe zagadnienia pracy społeczno-wychowawczej szkół. Str. 27. Cena zł. 18.

BIBLIOTEKA POPULARNO-NAUKOWA:

Tadeusz Manteuffel — Feodalizm — Str. 47. Cena zł. 42.

Wł. Michajłow — Rozwój świata organicznego — Str. 36. Cena zł. 18.

Stanisław Knauff — Wojna zaczęła się w Gdańsku. Str. 46. Cena zł. 22.

A. B. Dobrowolski — Najpiękniejsze klejnoty natury — Str. 43. Cena zł. 26.

Eugeniusz Rybka — Energia atomowa w gwiazdach — Str. 64. Cena zł. 42.

INSCENIZACJE, TAŃCE i PIOSENKI

STANISŁAW CHRUŚLICKI

KRZYK GĘSI

Obrazek sceniczny w 1 akcie

OSOBY: *Józek*
Staszek
Maryśka
Ojciec
Matka

Scena I

Izba na wsi. Za oknem już noc. Pod oknem na łóżku, siedzi Ojciec, niewesoło mu widać jakoś, bo twarz w rękach ukrył, podeszła ku niemu Matka, patrzy na niego chwilę niezaradnie, aż:

MATKA: Iii... nie myśl że tak, bo i tak nic nie wymyślisz... taka już nasza dola i tyle...

OJCIEC: E!... daj spokój, matka... jest o czym pomyśleć, jest...

JÓZEK· *(podchodził widać z daleka ze skrzypcami, bo coraz bliżej go słychać było, aż urwał i zapukał do drzwi)* Otwórzcie, to ja, Józek!

OJCIEC: *(podniósł się ciężko, otworzył i gderliwie):* Je!... po nocy chodzisz!... Siedziałbyś przecież w chałpie i tyle!...

JÓZEK: Ej, ojciec, ojciec! Jak wam już coś zrobić przyjdzie, to się tyle nagadacie, więcej, niż cała robota warta!

OJCIEC: Jak chcesz! Ale będziesz widział, że kiedy indziej będziesz spał na polu!

JÓZEK: To będę!

MATKA: *(podeszła do nich, pojednawczo)* No... nie gadajcie tyle, ino kładźcie się spać. Rozumu nie macie, albo co?!

OJCIEC: Bo gadaj z głupim!

MATKA: Sameś głupi! Czego od chłopaka chcesz?! Że po nocy chodzi, a przypomnij sobie, jakżeś ty chodził!

OJCIEC: *(zły)* Chodziłem... tom chodził, nie twoja rzecz!

JÓZEK: No... nie gniewajcie się już, ojciec. Co się ta będziemy o byle co swarzyć!

OJCIEC: *(ciepło)* Pewnie... Józuś... pewnie. Ino widzisz, zły jestem, nie dośpię, nie dojem... to się ta człowiekowi po nocy na ciebie wyczekiwać nie chce...

JÓZEK: Ej, tak, tak...

MATKA: *(przyrządzała mu wieczerzę)* Józek... a chodźno tu.

JÓZEK: *(podszedł ku niej)* Co, matusiu?

MATKA: A co z tą twoją Maryśką będzie? Dogadałeś się z nią jakoś? Mów przecież!...

OJCIEC: Iii, co jej będziesz mówić, przecież wiadoma rzecz, że z żadną babą do rozumu nie dojdziesz!...

JÓZEK: Ej, nie, ojciec... Maryś nie taka. Ale... będzie co będzie!

MATKA: Żenisz się, albo nie, bo z tego nic wyrozumieć nie mogę...?

JÓZEK: *(po chwili, zgaszony)* Matusiu... to jest taka cała sprawa: ojczym ją za mąż chce jak najwcześniej wydać i tu czy tam, choćby siłą ją wyda...

MATKA: To ci choroba dopiero!

OJCIEC: Taki jest, taki...

JÓZEK: A ja.. ja po nocy chodzę, ojciec, ale to dlatego, że nie wiem co mam ze sobą robić, spać nie mogę, męczy mnie to... a dziś, dzisiaj nic, tylko mi trzeba będzie z wami o tej sprawie mądrze pogadać!

MATKA: Pewnie że tak...

JÓZEK: To... widzicie jak jest. I z serca wam mówię, ojcze i matulu... I ja widzę, że tu w chałpie bieda, pola malutko, a tu dzieciskόw jeszcze małych dwoje... ani ich ubrać, ani wyżywić... ale co mam robić? Dacie mi może pół, a ja ich z tej połowy spłacę jak się jakoś dorobię... inaczej Maryśka dla mnie przepadnie... a ja bez niej życia przed sobą nie widzę. No co, ojciec, dacie czy nie dacie?

OJCIEC: *(myślał widać długo, bo po chwili, twardo:)* Nie dam...

JÓZEK: Jakże to?

OJCIEC: Tak jak słyszysz. Nie dam... Żeń się i nie żeń, żyj albo nie żyj, tyle ci mówię, że tej reszty co mam dla dzieci i dla siebie przez pół krajał nie będę!

MATKA: *(niespokojnie)* Przecież nie krzycz, ino pogadaj spokojnie!

OJCIEC: *(pohamował się)* Spokojnie mówię...

JÓZEK: To... nie dacie.

OJCIEC: Nie dam. Sameś powiedział: w chałpie jeszcze dzieci są i ja w chałpie zostanę, to co im do gęby dam? Te półtora morga? Najedzą się nimi, rozumu nie masz, albo co?!!

JÓZEK: Rozum mam... ino ojciec gębe zaraz otwiera na mie!

OJCIEC: *(zły)* Podoba mi się! Grunt mój i chałupa moja! Co ci się należało, toś dostał na szkołę! Nic już tu nie masz do brania, rozumiesz!!

MATKA: Cicho że chłopie, nie krzycz, bo i tak nikt się ciebie nie boi!

OJCIEC: Nie chcę, żeby się mnie kto bał albo i nie bał, ino wszystko sprawiedliwie mówię. Ziemi krajał nie będę, bo nie ma co krajać. Jedno mówię: zdechnę, a tych trzech morgów nie ruszę, bo by mnie chyba paraliż ruszył! A teraz dajcie mi spokój, bo idę spać...

JÓZEK: Toście już powiedzieli wszystko..: ojciec?

OJCIEC: Wszystko...

JÓZEK: *(hamuje się przez siłę)* To... idźcie spać, ojciec. Mój... kochany ojciec...

OJCIEC: *(wychodził z izby, ale na progu przystanął)* Ty się na mnie, Józek nie krzyw, bo sam wiesz, żebym ci nieba przychylił, ale co mam robić, jak ratunku żadnego nie widzę...?

JÓZEK: Idźcie spać, ojciec... Wiem sam jak jest... To i do was żalu żadnego nie mam. Ino wiecie... ciężko mi, to dlatego tak...

OJCIEC: To... dobranoc... *(wyszedł).*

JÓZEK: Dobranoc, ojciec, dobranoc... *(ciężko mu było na duszy, bo na łóżko w ubraniu się rzucił)* o Jezu, mój, Jezu!...

MATKA: *(podeszła ku niemu zatroskana, przysiadła przy nim)* Józuś... przecie pomyśl... jakoś trzeba ratunek znaleźć, albo co...

JÓZEK: Jak...? gryzie mnie to jak jaka choroba, spokoju mi nie daje, ratunku żadnego przed sobą nie widzę, że żyć mi się już nie chce!

MATKA: Maryśka... nie poczeka?

JÓZEK: Czy ja wiem...? Poczekała by może i trochę, ale wiecie, matuś, ojczym siłą ją zamąż pcha... a drugie...wójtowemu Staszkowi w oko wpadła.. chodzi za nią... spokoju jej nie daje. To czy ja wiem, co może być?

MATKA: A ona...?

JÓZEK: Moja ci jest, ino moja! Szczęście moje jedyne, szczęście moje serdeczne! Ale wiecie, matuś, sam widzę, że rady sobie nie może dać, z chałupy iść musi, żeby nie wiem co! Takie życie, jakie ona tam ma!...

MATKA: Wiem... ojczym pies...

JÓZEK: To... pomyślałem sobie: przecież może ojciec mi te półtora morga da, tobyśmy się pobrali i zaczęli jakoś, a dzieciska bym spłacił kiedyś. Ale teraz wiem... że i ja nie wyżyję i ojciec zginie.

MATKA: A tak, tak...

JÓZEK: To mi się dlatego już żyć nie chce! Nie chce mi się żyć, matulu i chyba sobie co złego zrobię i już!...

MATKA: Cicho, Józuś, cicho... A ją byś tak Staszkowi zostawił...?

JÓZEK: *(porwał się z łóżka)* Nie, o, nie!!!

MATKA: Widzisz...

JÓZEK: To ratujcie mnie, matuś, ratujcie mnie!!!

MATKA: *(przycichła, myślała długo, do okna zaszła, aż:)* Józek... jest jeden ratunek dla ciebie ino... Jedź na Zachód. Ręce i nogi masz zdrowe, robotnyś jest, a takim tam najlepiej! Da się, to sobie tam gospodarkę jaką weźmiesz, a nie to w jakiej fabryce dostaniesz robotę i nie zginiesz!

JÓZEK: Ja już myślałem dawno o tym, matuś... tylko nie wiem, czy Marysia będzie chciała ze mną jechać tak daleko...

MATKA: Jak cię miłuję, to i na kraj świata za tobą pójdzie... a nie pójdzie, to ci z niej nic, bo cię widać nie miłuje...

JÓZEK: Święte słowa, matulu!

MATKA: Widzisz... Dlatego nic sobie do głowy nie przybieraj, ale jutro z nią pogadaj co i jak. Gdy się zgodzi, to zrobimy jakie takie wesele i jedźcie. Bóg was nie opuści!

JÓZEK: *(skoczył całować jej ręce)* A

nie opuści nas, matulu, nie opuści! Ręce mam zdrowe, do roboty się wezmę, do gospodarki się przyłożę, orał będę, siał będę, szeroko, Bogu na chwałę i sobie na pożytek! Pojadę, matulu. Zaraz jutro Marysi powiem: słuchaj moje ty szczęście! Nie ma tu dla nas ratunku żadnego, to chodź ze mną i na kraj świata! Niczego się nie bój, bo razem będziemy we dwoje, ty i ja, cztery ręce i dwa serca do ziemi przyzwyczajone, a ziemia tu czy tam teraz jednaka, bo i tu i tam Polska, ludzie nasi, mowa nasza i życie jedno! *(ucichł znagła)* Ino... wiecie matusiu... jakby tak ona.. jakby tak ona nie chciała ze mną jechać...- Jakby tak wolała tu... przy Staszku...? O Jezu! Matusiu! Przecież nie, przecież chyba nie!!

MATKA: Nie, Józuś... pójdzie za tobą. Zobaszysz że pójdzie. A teraz śpij. Do dnia niedaleko, bo noc przechodzi, a z rana słoneczko zaświeci na nową dolę jej i tobie. To śpij...

JÓZEK: Nie, matuś... grał będę. Tak cichuśko... ale do białego rana. I będę sobie w tym graniu przemyśliwał jakie to nowe życie będzie na nowej ziemi... z nią...

MATKA: To dobranoc, synuś... *(poszła).*

JÓZEK: Dobranoc, matuś... niech ci Bóg da zdrowie za poradę... *(przysiada na krawędzi łóżka, zagrał na skrzypcach najpierw najciszej, ale widać lepsze myśli go naszły, bo zagrał skocznie i wesoło).*

(Kurtyna)

Scena II

Na pastwisku. Sciemnia się. Z daleka idą nawoływania, pies zaszczeka od czasu do czasu, studnia gdzieś we wsi zaskrzypi. Przy ogniu siedzi Marysia i Józek.

MARYŚKA: Zagraj co, Józuś... ino tak, żeby się przez pastwisko niosło na kraj świata!...

JÓZEK: Zaraz, Maryś, ino ogień poprawię, bo chłodno i za koniami się oglądnę... *(woła)* Kaaary!... Nie chodź, chorobo!... Łuuuuna! Łuuuuna!... Goń no za nim i przypędź do ognia! Huzia go! *(zaszczekał pies z nagła)* Bieserz go!...

MARYŚKA: Ale się pali Czekaj spróbuję ziemniaka! Ej... gorący jest jak fras! Twardy jeszcze...

JÓZEK: A twardy... i życie nasze twarde... i nijakie, Maryś... Dlatego też chciałbym ci coś powiedzieć... ino mi zacząć nijako.

MARYŚKA: Zagraj, Józek... to ci zaraz nuta do gadania przyjdzie, zobaczysz!..:.

JÓZEK: Ej! nuta, serdeczna nuta!... *(zagrał smutnie, jękliwie).*

MARYŚKA: Tak grasz, że w sercu coś płacze i smuci się coś, a po świecie się niesie do widnokręgu...

JÓZEK: *(przestał grać)* Maryś... słuchaj że... kochasz mnie? No powiedz!

MARYŚKA: *(najciszej)* Nie wiesz jeszcze...?

JÓZEK: Mojaś ty!... a... pójdziesz ze mną... na dolę i niedolę... na kraj świata..?

MARYŚKA: Niby... od swoich? Z tej ziemi, z tego pastwiska?

JÓZEK: No...

MARYŚKA: A... trzeba iść...?

JÓZEK: Trzeba... pójdziesz?

MARYŚKA: Czy ja wiem...

JÓZEK: Bo słuchaj moje ty jedyne i serdeczne... nie ma dla nas innej rady, ino ziemi nam trzeba szukać, żeby się jej rękami złapać, ale tak mocno, mocno!...

MARYŚKA: *(niezdecydowana)* Ino... że tu ostanie wszystko...

JÓZEK: Nie wiele tego mamy. Nie wiele... A tak, to pobierzemy się i pojedziemy na Zachód! Po ziemię! Pojedziesz ze mną, Maryś, no powiedz, pojedziesz...?

MARYŚKA: Czy ja wiem...? Sama nie wiem co robić. *(że z daleka ktoś woła: Maaaaryś... Jóóóózek!)* Staszek woła! Niech tu przyjdzie! Wesoło będzie! *(nawołuje)* Staaaaszek! Staaaaszek! Tuuuutaj!

JÓZEK: *(zły)* Cicho! Po co go wołasz!

MARYŚKA: Co!... *(zawstydziła się)* iii, tak dla. śmiechu...

JÓZEK: *(smutnie)* Dla śmiechu... a niech...

STASZEK: *(roześmiany, wpadł zdyszany)* Tuście są! Nie mogłem was nigdzie znaleźć!

MARYŚKA: Usiądź sobie przy ogniu, bo wieczór zimny...

STASZEK: A ty coś taki zły, Józek...?

JÓZEK: Nie jestem zły, ino... że ja to nigdy spokoju nie mam, żeby z Marysią pogadać!

STASZEK: Iiii, co byś ta gadał! Na to zawsze jeszcze czas się znajdzie! A ty Maryś co... nie zimno ci?

MARYŚKA: Nie...

STASZEK: Posmutniałaś znagła...

MARYŚKA: No... Józek chce na Zachód jechać...

STASZEK: Chce... to niech jedzie!

MARYŚKA: Ale i ja... z nim...

STASZEK: Je!... chyba byś rozumu nie miała!

JÓZEK: Cicho bądź!

STASZEK: Co się drzesz! Co gębę otwierasz, jakbyś był sam!

JÓZEK: Pyskujesz jeszcze, pyskujesz! *(wstał do niego).*

STASZEK: Odejdź, bo ci łeb ukręcę!

JÓZEK: Ty chorobo! *(skoczył ku niemu, wzięli się za bary).*

MARYŚKA: Józek!... Staszek! Co wy robicie!! Chłopaki, przecież dajcie spokój!!! Nie bijcie się!!!

JÓZEK: Ja ci dam! Przestaniesz za nią chodzić! Ja ci pokażę!

STASZEK: *(w szamotaniu)* Puść mnie! Taka ona twoja jak i moja!...

MARYŚKA: Ludzie! Pozabijają się!!! Jóóóózek, puść go! Jóóóózek!

JÓZEK: *(puścił go)* A niech... dla ciebie to robię. Maryś... bo inaczej takbym go sprał, żeby widział!

STASZEK: Bo bym ci się dał!

JÓZEK: Będziesz cicho, czy nie!!

MARYŚKA: Józek!... bo cię nie chcę znać!

JÓZEK: *(przyciszył się znagła)* Ty mnie Maryś... znać nie chcesz, ty... Ano jak tak...

MARYŚKA: No, nie mów-że przecież... ja ino tak... Usiądź że i ty Staszek też... No już cicho, cicho... *(posiadali przy ogniu)* Jesień idzie po pastwisku... Chłodnawo już i mgła się niesie przez świat. Po pastwisku wołania idą... *(aż rozległo się wołanie dzikich gęsi, przechodziło ponad nimi)* Je!... dzikie gęsi!... Jak to krzyczą!... Jak to krzyczą!... Żal im w świat iść... w daleki świat... Ale co robić, kiedy trzeba, czas przyszedł zły...

JÓZEK: Jak i nam, Maryś... jak i nam... Tobie i mnie...

MARYŚKA: To i nam trzeba by było za gęsiami lecieć i krzyczeć jak i one...

JÓZEK: Nie, Maryś... Gęsi lecą w obce kraje... daleko... na obcą ziemię... A my nie. Tam nasza ziemia, jak i tu...

STASZEK: *(namawia)* Zostań Maryś ze mną... A jak on musi iść, to niech idzie. Józek, wiesz co... niech Marysia wybierze... zostanie ze mną, albo za tobą pójdzie... po sprawiedliwości... chcesz?

JÓZEK: A niech... wybieraj, Maryś...

MARYŚKA: Gęsi lecą na kraj świata... i krzyczą...

STASZEK: To jak chcesz, Maryś...?

JÓZEK: Powiedz, Maryś... bo ja już konie do chałupy pędzę... to pojedziesz ze mną i za tymi gęsiami... czy z nim tu zostaniesz?

MARYSIA: *(zasłuchana)* Je... jak to te gęsi krzyczą...

JÓZEK: *(po chwili, już zdecydowany)* To żegnaj mi Maryś. Gdzie indziej moja droga wiedzie... I ty Staszek żegnaj...

STASZEK: Nie masz do mnie żalu, Józek..?

JÓZEK: Nie... ona wybrała. Żegnajcie mi. *(zabierał się do odejścia, włosy z czoła odgarnął, na skrzypcach sobie do marszu zagrał, ale niezbyt pewnie).*

MARYŚKA: *(po chwili dopiero, kiedy i skrzypce już cichły, zerwała się)* Jóóóózek! Jóóóózek! *(wybiegła za nim, wraca z nim po chwili)* Przecież mnie nie zostawisz! Idę z tobą, Józek! Na nowe życie! Na Zachód, po ziemię!!!

JÓZEK *(objął ją radośnie)* Maryś, Maryś!!! Moja, ty moja!!!

MARYŚKA: Jedna nasza droga! Twoja i moja! Tu nam źle, to nam tam bedzie lepiej! Ino ziemi nam kawałeczek trzeba, to do niej jak i te gęsi pójdziemy, na nową dolę, jedną!!!

JÓZEK: Maryś, Maryś!... *(objął ją mocniej, okręcił dookoła)*

STASZEK: Ano... daj wam Bóg zdrowie i szczęście... widać tak musi być.

JÓZEK: Jedź z nami! Tam sobie inną Marysię wynajdziesz, jedziesz!??

STASZEK: Czy ja wiem...?

MARYŚKA: Jedź, Staszek... jedziesz z nami?

STASZEK: ...Jadę!

WSZYSCY: *(śpiewają)*

Na Zachód, na Zachód jedziemy
na rolę,
po życie tam nowe jedziemy —
na nowe tam życie i na nową dolę
na nowej i świętej tej ziem[illegible]

Stanisław Chruślicki

MARIA KONOPNICKA

MŁODY ŻOŁNIERZU

(Scena przedstawia z jednej strony las, pola i łąki, z drugiej wiejskie chaty, tak aby na planie bliższym była chata z ławeczką, na której siedzi kilka osób w strojach regionalnych. Osoby w różnym wieku. Na ziemi obok ławki siedzi chłopiec i dziewczynka. Grupa zajęta rozmową, opowiadaniem. Wchodzi na scenę żołnierz w bojowym rynsztunku Dzieci zrywają się z ziemi i podbiegają do żołnierza):

DZIECI *(entuzjastycznie):*
...Młody żołnierzu!... — młody żołnierzu,
WSZYSCY *(podrywają się z ławki):*
W jaki ty idziesz bój?
ŻOŁNIERZ: *(opuszcza karabin do nogi. Zwraca się do pytających, którzy otaczają go, wpatrzeni weń i tworzą malowniczą grupę. On im z przejęciem odpowiada):*
W śmiertelny idę bój,
W śmiertelny trud i znój,
(za sceną słychać odgłosy bojowe)
W śmiertelny proch i pył,
W bój, który wiecznie był
I wiecznie trwa
(głos trąbki)
Idę radosny,
A na promiennym puklerzu
(jasne oświetlenie)
Mej wiosny
Jutrzenka tęczą siedmiobarwną gra!
(na scenie mrok, za sceną odgłosy bojowe)
Wśród mroków i omdlenia,
Wskroś burzy i zawiei,
W bój idę wszechtęsknoty,
W bój idę wszechpragnienia,
W bój idę wszechnadziei,
— Co gdy się ziści, nie dla mnie się ziści —
(werbel żałobny)
W śmiertelny duchów bój!
(mówi żywo z zapałem bojowym)
Na śmierć, na skon
Młodość mą niosę
Jak złoty plon,
(słychać odgłosy walki, widać błyski ogni — od czasu do czasu głos trąbki)
Na wielkie bojowisko,
Gdzie duchów wszechognisko
Płonie, świeci, rozbłyska...
Lecę — iskra ogniska
Na całopalny stos!
(jasny błysk światła — ciemno — mrok)
Może rozwidnię sobą
Pola, czarne żałobą,
Może sobą ogrzeję
Stygnącą serc nadzieję...
W bój duchów idę!
ŻOŁNIERZ *(chce odejść)*
W bój duchów śmiertelny!
CAŁA GRUPA *(ożywia się, jakby chciała go zatrzymać)*
DZIECI *(podbiegając jeszcze bliżej żołnierza):*
Młody żołnierzu!
WSZYSCY:
Młody żołnierzu!
Za co ty idziesz w bój?
(odgłosy bojowe milkną)
ŻOŁNIERZ *(mocno, silnie z wiarą):*
Za wszystko dobre idę w bój!
Za ideałów ołtarz mój,
Za życia moc,
Za życia zdrój,
(jasne oświetlenie)
Co dla milionów niezrodzonych płynie
W tajemnej wieków głębinie,
W bój idę wierny przymierzu,
Co duchy w ogniwa sprzęga...
(staje na „baczność"):
Na śmierć! — jest moja przysięga,
Na śmierć! — mej tarczy znak.
(podchodzi bliżej widowni. Wskazuje kolejno: na widownię i grupę na scenie, na pola, chaty, las)
W bój idę za bratni rój,
Za ciszę i plenność pól,
Za ciszę i światło chat,
Za borów szum, za łężny kwiat,
(z nabożeństwem):
Za mogił zapomnianych tajemniczy ból,
Ja, traw podolnych, podeptanych brat,
W odkupień idę bój!
(Z za sceny dochodzi muzyka — jakaś „ciepła" miła melodia, np.: „Płyniesz Wisło")
Idę, by na swym gnieździe mógł śpiewać wolny ptak,
By ziemia rodzić mogła dla łaknących kłosy,
By usłyszane były jutra tajne głosy...
Za podniesienie pochylonych głów
W promienność słońca...

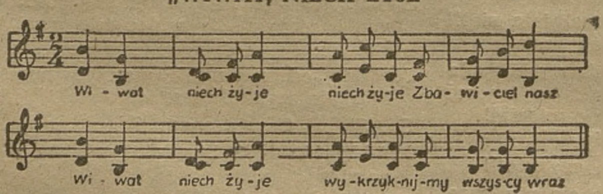
Kurtyna

Opracowała Grażyna Dąbrowska

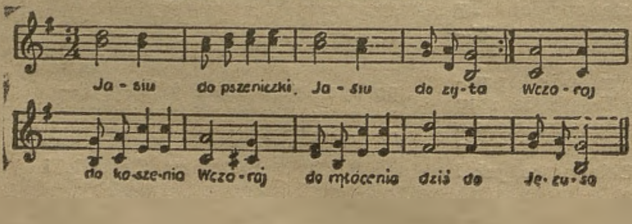
Nuty do „Szopki Wielkopolskiej" z Nr. 1

w opracowaniu Czesława Ortymowicza

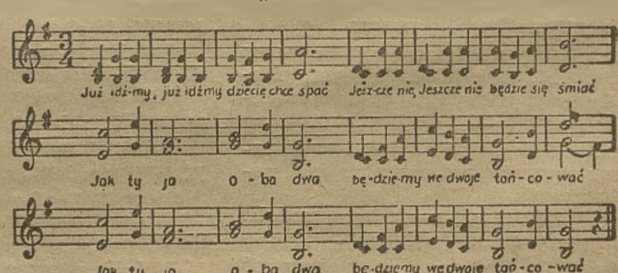
„WIWAT, NIECH ŻYJE"



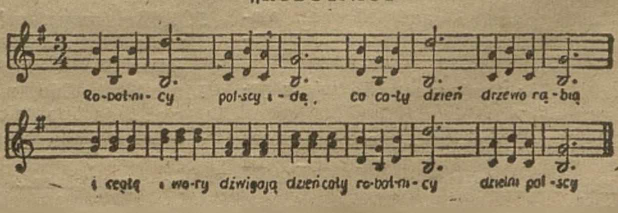
„JASIU DO PSZENICZKI"



„JUŻ IDEMY"

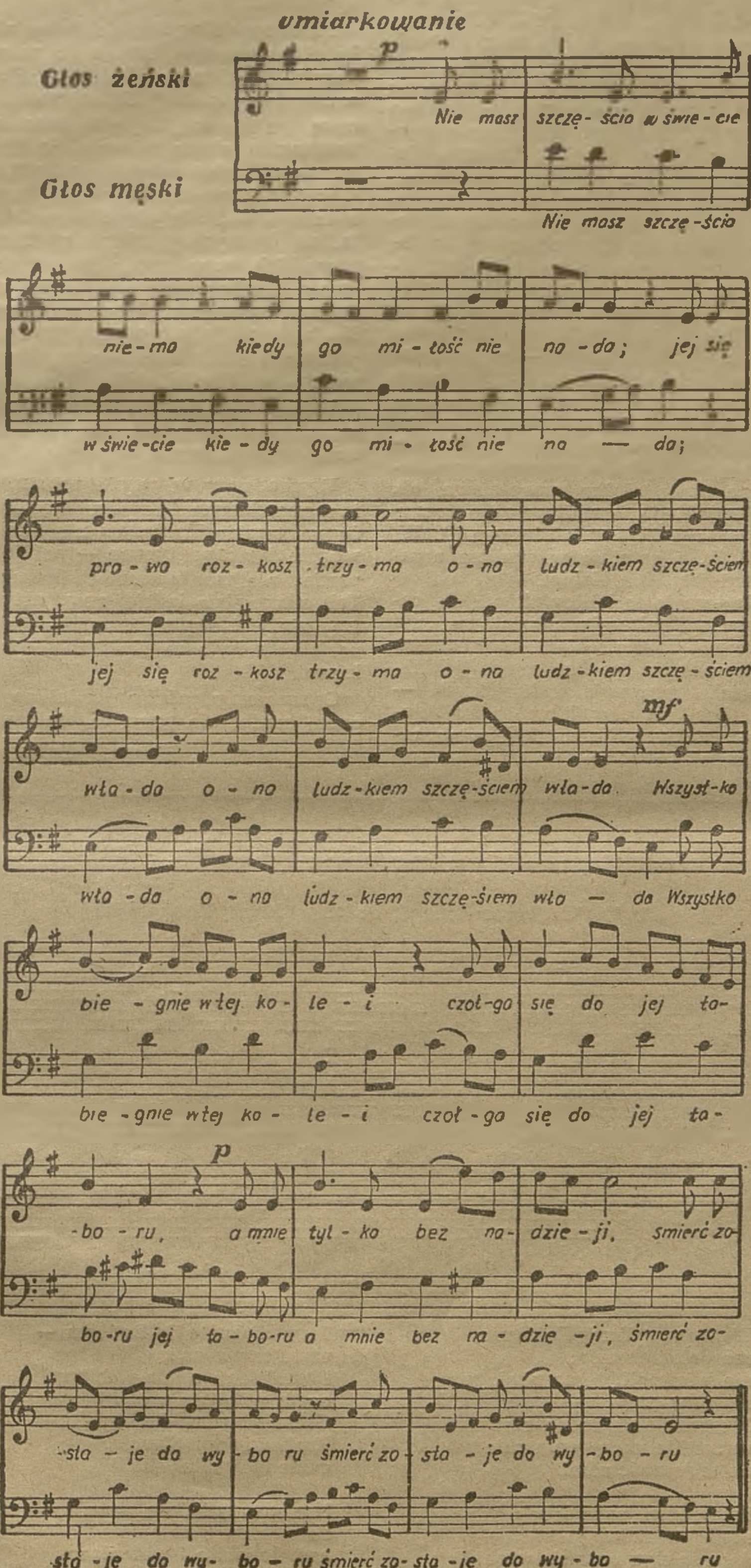


„ROBOTNICY"



Skarga

Melodia z XVIII wieku. Na 2 głosy, opracował Henryk Obuchowicz.



Sprostowanie: Melodia p. t. „Dziwu się ludzie", podana w poprzednim numerze „Świetlicy Krakowskiej", jest opracowana również przez Henryka Obuchowicza, a nie — jak podano mylnie — Obtułowicza.

Muzyka w wojsku

Dzięki staraniom **mjr. Jarosława Hroudy** i jego zastępcy mjr. Kuczery w Generalnym Inspektoracie Orkiestr Wojskowych Ministerstwa Obrony Narodowej kultura muzyczna na terenie pułków obejmuje coraz szersze kręgi i przy sprężystej organizacji daje bardzo piękne i owocne rezultaty.

Zwiększone etaty w orkiestrach pułkowych do 29 ludzi dają pełne brzmienie w orkiestrze dętej i dają możliwości podziału na mniejsze zespoły salonowe itd.

W liczbie tej jest 12 elewów — młodocianych uczniów, którzy rekrutują się w lwiej części z opuszczonych sierot wojennych, jacy w orkiestrze pułkowej kształcą się teoretycznie, uczą się gry na jednym dętym i na jednym smyczkowym instrumencie. Wychowawczo ma to doniosłe znaczenie, bo chłopcy tacy po demoralizującej wojnie poza odzieżą i utrzymaniem, które otrzymują, zaprawiają się w wojskowej dyscyplinie, kształcą się muzycznie, przez co zyskują kulturę i ogładę, otrzymują fach artystyczny w ręce, mają możliwości awansu szybkiego w wojsku, a nawet zdobycia stopnia oficerskiego w korpusie kapelmistrzowskim. Wysłużeni podoficerowie z tzw. elewów orkiestr wojskowych zasilać będą mogli cywilne orkiestry symfoniczne na przyszłość, w których odczuwa się tak wielki brak dobrych muzyków grających na instrumentach dętych, drewnianych i mosiężnych.

W trosce o przyszłość orkiestr wojskowych Generalny Inspektorat Orkiestr Wojskowych przystępuje obecnie do zorganizowania Wojskowej Szkoły Muzycznej — Centrum Wyszkolenia Muzycznego, w którym kształcić się będą elewowie przez przeciąg trzech lat na zawodowych podoficerów, tambor-majorów i wreszcie na kapelmistrzów wojskowych. Również przewidziany jest 6-miesięczny kurs dokształcający na terenie szkoły dla bardziej zaawansowanych muzyków wojskowych.

Generalny Inspektorat Orkiestr Wojskowych nawiązał też ścisły kontakt, polegający na współpracy w kierunku fachowo-muzycznym z Departamentem Muzyki Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz z dyrekcjami Szkół Muzycznych w kraju.

Punktem kulminacyjnym świadczącym o wysokim poziomie kultywowania kultury muzycznej w wojsku, był doskonale zorganizowany konkurs orkiestr dętych we Wrocławiu, który miał miejsce dnia 18 sierpnia ub. r. w Ludowej Hali, w obecności generała broni Popławskiego, dowódcy O. W. 4, generała brygady Siwickiego, kpt. Błachyja Włodzimierza, instruktora kultury artystycznej DOW 4.

W jury konkursowym wzięli udział: inspektor mjr. Jarosław Hrouda jako przewodniczący, kpt. Skoniewski, dyr. Filharmonii mgr. Syryłło i dyr. Szkoły Muzycznej Julian Bidziński.

Do konkursu przystąpiło 11 orkiestr, z tego 7 orkiestr zostało dopuszczonych. Pierwsze miejsce zdobyła

orkiestra 37 p. p. pod batutą sierż. Wójcika, drugie 42 p. p. i trzecie 25 p p.

W czasie konkursu najlepsi muzycy wybrani z orkiestr DOW 4 wykonali pod batutą kpt. Grafki bez zastrzeżeń następujące utwory: Uwerturę z op. Halka St. Moniuszki, Poloneza A-dur Fr Chopina, Rapsodię Słowiańską L. Friedmana.

Występ karnych i dobrze zgranych orkiestr na Ziemi Odzyskanej miał swój przekonywujący wyraz i wzniosłe znaczenie, dodając tym samym ducha i sił pionierom i budowniczym nowej Polski na rubieżach państwa.

Józef Swatoń

KRONIKA ŚWIETLICOWA

Wśród lasów szpilkowych kwitnie życie

Otwarcie sezonu świetlicowego w Zakładach Przemysłowych „Natalin"

Masłońskie, mała osada w pobliżu Częstochowy, dumna jest ze swoich Zakładów Przemysłowych (wyrób tektury), leżących wśród pięknych lasów szpilkowych, zdala od kolei, w ustronnej i cichej okolicy.

W świetlicy zakładów ruch olbrzymi — ma nastąpić dzisiaj otwarcie sezonu świetlicowego. Są wszyscy: robotnicy, Rada Załogowa, Dyrekcja w komplecie. Przewodniczący Rady Zakładowej, ob. Fidler, informuje nas o życiu tutejszych robotników. Większość z nich to wyrobnicy z okolicznych wiosek, dochodzący do pracy nieraz i po 6 kilometrów — piaszczyste grunta nie wystarczają na wyżywienie rodzin. Życie świetlicowe rozwija się dosyć dobrze, robotnicy po zajęciach biorą udział w pracach świetlicowych, Dyrekcja Zakładów zaś, na czele z dyrektorem Hasfeldem, stale opiekuje się świetlicą i finansuje jej potrzeby kulturalno-oświatowe. W świetlicy jest czytelnia, w której codziennie są świeże pisma (10 dzienników), oraz biblioteka z przeszło 200-tu książkami, ofiarowanymi bądź przez Zw Zawodowy, bądź przez Dyrekcję Zakładów.

Przewodniczący Rady Zakładowej z dumą oprowadza nas po świetlicy, pokazując scenę, własnoręcznie zbudowaną przez robotników. Tutaj — mówi — odbywają się wszystkie uroczystości i imprezy. Ob. Kłoskowa, kierowniczka naszej świetlicy, absolwentka Wojew Kursu Kierowników Świetlic w Katowicach, przygotowuje program, a robotnicy zapalają się do pracy w świetlicy. Dzisiaj z odczytem przyjechał ob. Kiss-Orski z Katowic — będzie mówił na temat nowego życia Polski w obecnej rzeczywistości. Jest to pierwsze wystąpienie człowieka z poza terenu Zakładów, bo dotychczas wszystko robiliśmy we własnym zakresie. Jeśli chodzi o sekcje, jakie istnieją w naszej świetlicy, to najaktywniejszą jest gromadka świetlicowa — są to dzieci naszych pracowników. Codziennie świetlica rozbrzmiewa ich śmiechem. Dzieci w liczbie 30-tu pod opieką kierowniczki ożywiają świetlicę. Oprócz tego istnieje trio skrzypcowe, prowadzone przez ciężko pracującego, ob. Hajkowskiego, zamiłowanego muzyka, oraz sekcja młodzieżowa P. W. i W. F., a ostatnio w stadium organizacji jest Liga Kobiet.

Na terenie świetlicy skupia się całe życie kulturalno-oświatowe nie tylko robotników, ale i miejscowego społeczeństwa, pozbawionego jakichkolwiek rozrywek kulturalnych. — Świetlica jest ośrodkiem promieniowania kulturalno-oświatowego na całą szeroką okolicę.

Nie możemy dłużej rozmawiać, bo właśnie w wypełnionej sali rozlega się głos prelegenta z Katowic. Na sali taka cisza, że słychać własny oddech. Robotnicy pożerają wprost każde słowo, którego tak bardzo byli spragnieni.

Po odczycie występuje jeden z robotników, brudny jeszcze po pracy i zaczyna deklamować wiersz: „Ślubować dzisiaj trzeba". Słowa padają w ciszę i zdaje się, że usta zebranych powtarzają słowa wiersza. Będziemy pracować, aby odrobić zniszczenia wojny, aby wysiłkiem swoim wspólnym budować siłę gospodarczą Polski tu, na jałowych piaskach podczęstochowskich, tu w szumie świerkowych lasów. Na twarzach robotników znać powagę skupienia. Twarde i szorstkie ręce zdają się wyciągać ku tej pięknej wizji Polski bogatej, matki wszystkich i opiekunki.

Skończył się wiersz, grzmiały tylko oklaski, gdzieś u strychu dzwoniły echa robotniczego ślubowania.

Wychodzimy w grupie robotników i rozmawiamy. Zdziwieni jesteśmy, że na terenie Zakładów nie istnieje wogóle życie polityczne — ani jedna partia nie ma tu swoich komórek. Tak silny gdzie indziej zew partyjny nie odezwał się tu w ogóle, jakby nasłońskie było za siedmiu górami i lasami.

Opuszczamy gościnną świetlicę, żegnani serdecznie przez robotników.

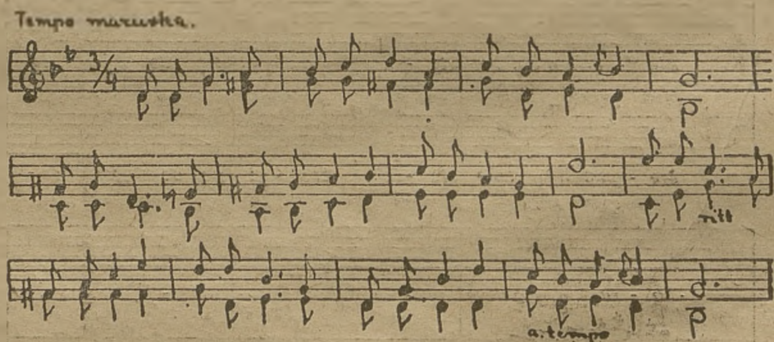
Edmund Całka.



— Ilu jest ludzi w Polsce?
— 23 miliony i 1, panie psorze.
— Dlaczego?!
— Bo wczoraj wrócił z Anglii mój tatuś.

Po kolędzie

Andrzeja Chorzowskiego, do słów Marii Konopnickiej



Wędrowali Trzej Królowie
zza dalekich mórz
nie wiedzieli, że za nimi,
idą łany zbóż.
Nie wiedzieli, że do szopy,
wszystkie nasze walą chłopy
na tę jasność zórz!

Pyta jeden, pyta drugi:
skąd ten cudny głos?
A to śpiewa nasz skowronek
za pobrzękiem kos.
A to nasze łany grzędy
wyśpiewują te kolędy
wskroś porannych ros.

Przyszli króle do Betleem —
aż tu nowy cud:
Pyta Jezus: a gdzie chłopy,
co tu przyszły z bud?
Gdzie Mazury, Podlasiaki,
Krakowiaki i Ślązaki,
gdzie mój polski lud?

Nie zawstydzi się przed królem
za swe dary chłop:
nad kadzidło i nad myrrę
pachnie żytni snop!
A pszenica się migota
od szczerego cudniej złota
pod niebieski strop.

Organ Wojew. Domu Kultury w Krakowie Redaguje zespół Adres redakcji: Kraków Dunajewskiego 1, II. piętro, telefon 585-58
Drukarnia 1. pod Zarządem Państwowym, Kraków, Wielopole 1. M — 16669